

Jedyna Spółdzielcza Księgarnia w Polsce.

Księgarnia „Świt”

Powszechnej Spółdzielni Spożywców

w Łomży, ulica Długa № 2.

Posiada na składzie: wielki wybór książek szkolnych, materiałów piśmiennych, zeszytów, bruljonów, galanterji piśmiennej, papierów malarskich i rysunkowych, pastel, farb olejnych, artystycznych i akwarelowych.

Dostarcza książki i wszelkie materiały dla kooperatyw szkolnych na warunkach ulgowych.

KOMPLETUJE BIBLIOTEKI.

Przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma po cenach nominalnych.

==== Ceny przystępne. ====

PRZY KSIĘGARNI ZAKŁAD INTROLIGATORSKI.

Popierajcie Księgarnię Spółdzielczą!

Władysław Kuć

Skład materiałów piśmiennych

w ŁOMŻY, Plac Pocztowy.

Poleca: materiały piśmienne, zeszyty, bruljony, papier rysunkowy, farby, przybory kancelaryjne i malarskie.

Przyjmuje prenumeratę pism po cenach nominalnych.

Ceny przystępne!

Ceny przystępne!

Czytajcie!

Rozpowszechniajcie!

Kupujcie!

„U PROGU”

Czasopismo młodzieży szkół średnich ziemi łomżyńskiej.

Każdy numer — prócz ilustracji — przynosi artykuły związane z życiem młodzieży, prace naukowe, nowele, poezje oraz bogatą kronikę.

Do nabycia u starostów klasowych, w księgarniach i administracji.

STANOWISKO LOMŻYŃSKIE

Rok I. Egzemplarz 1. ŁOMŻA, Marzec 1926 r.

№ 3.

U PROGU

Czasopismo młodzieży szkół średnich ziemi łomżyńskiej.

ŁOMŻA — GRAJEWO — KOLNO — OSTROŁĘKA — OSTRÓW — ZAMBRÓW.

Adres Redakcji i Administracji: ŁOMŻA, GIMNAZJUM PAŃSTWOWE MĘSKIE.

TREŚĆ NUMERU:

Z nadzieją — Koło krajoznawcze młodzieży P. T. K. — Kilka uwag z powodu art. „Parę słów w palącej kwestji”. — Pod adresem kol. J. Kurcyusza. — Jeszcze w palącej kwestji. — Głos w dyskusji. — Do pieśni (wiersz). — Herma. — Mój kolega. — Choć nie mam lasów (wiersz). — Z nad granicy. — Nowy pamiętnik cyklisty. — Kościół katedralny w Łomży. — 7-mio klasowa Szkoła Handlowa męska. — Pielęgniarstwo i jego rola w dobie współczesnej. — Od zwycięstw do upadku. — Koło sportowe. — Z Hufca P. W. — Kronika. — Młoda Prasa. — Widmo Horacego.

Cena numeru 50 groszy.

U PROGU

Czasopismo młodzieży szkół średnich ziemi łomżyńskiej.

ŁOMŻA — GRAJEWO — KOLNO — OSTROŁĘKA — OSTRÓW — ZAMBRÓW.

Adres Redakcji i Administracji: Ł O M Ż A, GIMNAZJUM PAŃSTWOWE MĘSKIE.

Z NADZIEJĄ.

Gorącym pragnieniem twórców pisma było, aby stało się ono ogniwem, zespalać młodzież uczącą się w średnich zakładach naukowych wszystkich miast ziemi łomżyńskiej. Ogół młodzieży odniósł się do inicjatywy przychylnie, podniósł ją, poparł — tak, że zamierzenie to stało się faktem dokonanym, zrealizowanym prawie w całości. Rozpoczynając wydawanie „U Progu” doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z ogromu pracy i obowiązków, jakie ona na nas wkłada. Liczyliśmy na ogół i nie zawiedliśmy się.

Młodzież poparła swój twór, mający być odbiciem jej życia w najdrobniejszych nawet jego przejawach i rzecznikiem potrzeb, przyjęła go życzliwie. Dziś z radością możemy stwierdzić, iż praca podjęta przez nas rozwija się stale i normalnie. W tym kierunku zmierzać będziemy nadal w celu osiągnięcia jaknajdalej idących stopni rozwoju. Już obecnie widzimy wzrastające parcie w kierunku choćby wzajemnego informowania się młodzieży wszystkich gimnazjów, o życiu swych szkół — swych środowisk, kół i organizacji.

Czytający o pracy jaka toczy się w łonie związków młodzieży, o ustroju

tych związków, celach i środkach przedsięwziętych przez nie w kierunku rozwijania form współzycia i współpracy, z pewnością wysnują z tych obrazów własne wnioski, zapragną przejąć ustrój i cele tych organizacji i przenieść je na własny grunt, na teren swej szkoły, o ile ta dotychczas ich nie posiadała.

Choćby więc na tem polu dawać będzie „U Progu” nieocenione korzyści, jakie wpływać mogą z chęci — godnego naśladowania — współzawodnictwa. Nie będę mówił o dodatnich wpływach innych działów reprezentowanych w piśmie, które bądź pogłębiają nasze wiadomości, bądź przysparzają tematów do myślenia, lub dają pożyteczną i przyjemną rozrywkę. O tem każdy może się przekonać i w tem przekonaniu utwierdzić.

Na tem miejscu chcę jeszcze stwierdzić jedno — z satysfakcją i skrucą zarazem: pisząc w artykule wstępnym pierwszego numeru, że nasze życie „jest puste i bezbarwne” omyliłem się.

Dziś, gdy patrzę na dwumiesięczny choćby dorobek naszej wspólnej pracy doszedłem do innych wniosków, że nie jest

ono tak puste, jakby na pozór zdawać się mogło, a może być nawet „bajecznie kolorowe” tylko . . . — tylko objawów jego nie należy ukrywać a przeciwnie — uzewnętrzniać je — a wówczas nie będzie wątpliwych!

Piotr Zieliński.

L. Węgrzynowicz (Kraków).

Koła Krajoznawcze młodzieży Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Od lat sześciu wychodzi w Krakowie, miesięcznik „Orli Lot”, od tego też czasu datuje się dążność Polskiego T-wa Krajoznawczego w kierunku organizowania kół młodzieży, które mają za zadanie: a) krzewienie krajoznawstwa wśród młodzieży, — b) wdrażanie młodzieży do samodzielnej pracy krajoznawczej, — e) opiekę nad zabytkami przyrody i dzieł pracy ludzkiej.

Na polu pracy krajoznawczej ma młodzież ważne zadanie do spełnienia. Może ona w dużej mierze przyczynić się nie tylko do pogłębienia i rozszerzenia naszej wiedzy o kraju, ale i do obudzenia samowiedzy narodowej.

Jak się przedstawia dziś to, co o ziemiach naszych wiemy?

Niestety nauka o Polsce współczesnej jest pełna luk i niedomówień. Każdy z uczonych czy lingwista, czy etnolog, czy przyrodnik nie jest w stanie dać nam pełnego obrazu, czy to rozmieszczenia grup etnologicznych, czy roślin, lub drzew, czy rozszerzenia się pewnego zwyczaju, czy kultu religijnego.

Brak nam materiałów. Całe połacie kraju są niezbadane. Tutaj też wdzięczne zadania czekają naszą młodzież.

Na ziemiach naszych istnieje około 800 szkół średnich.

Niech w każdej szkole jeden nauczyciel zajmie się zbieraniem materiałów krajoznawczych przy pomocy uczniów, niech tych uczniów-krajoznawców w każdej szkole będzie 10, to otrzymamy pokaźną liczbę 8000. Czy tych 8000 uczniów rozrzuconych po całej Polsce nie potrafi zebrać tyle materiałów odnoszących się do pewnego zagadnienia, aby badacz mógł przystąpić do opracowania go?

Otóż sądzimy, że to możliwe. I nie tylko tych 8000 młodzieńców, ale całe społeczeństwo

powinno wziąć udział w tej pracy, jak się to dzieje w Czechach, Niemczech, Francji, Anglii . . .

Dziś tylko garstka młodych krajoznawców zorganizowana w koła krajoznawcze zadanie to spełnia. W ubiegłym roku redakcja Orlego Lotu zdołała wypełnić pięć zeszytów materiałami zebranymi przez młodzież.

W pierwszym zeszycie p. Fl. Kotliński, kierownik szkoły z Piasków Luterskich pokazał, jak może w tym kierunku pracować nauczyciel szkoły powszechnej, publikując materiały zebrane przez dzieci szkolne. W dalszych zeszytach znajdujemy materiały Koła łódzkiego, tomaszowskiego, warszawskiego i sandomierskiego.

W tym roku redakcja „Orlego Lotu” ogłosiła dwie nagrody (150 zł. i 100 zł.) za najlepsze opracowania poszczególnych zeszytów. Z końcem czerwca ma się odbyć zjazd członków kół krajoznawczych dla wzajemnego porozumienia się i obmyślenia wspólnego programu pracy na przyszły rok szkolny. W październiku wezmą Koła udział w ogólnej wystawie krajoznawczej przygotowanej z okazji dwudziestolecia Polskiego T-wa Krajoznawczego.

Marja Kraszewska (Łomża G. Ż. M. K.).

Kilka uwag z powodu arkykułów dyskusyjnych: „Parę słów w pałacej kwestji”.

W pierwszym i drugim numerze naszego pisma w artykule: „Parę słów w pałacej kwestji” i odpowiedzi nań, mamy rzucone dwie myśli, dwa poglądy na stanowisko, jakie winniśmy zająć w przyszłości wobec społeczeństwa. Rzec ta urasta do olbrzymich rozmiarów, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że stoimy u progu nowego życia i musimy wziąć na siebie obowiązki społeczne i obywatelskie.

Byłoby bardzo na czasie rozważyć podane tam myśli i rozstrzygnąć, czy mamy w przyszłości stanąć do pracy wśród ludzi z suteryn, czy też pracować nad podniesieniem do wyżyn ideału kultury posiadających. Zaiste prawdą jest, że pokolenie dzisiejsze jest zmaterjalizowane, lecz dziwić się temu nie można.

Po skończeniu szkoły średniej obieramy zawód, dający największe korzyści materialne. Jest to wpływ domu, gdzie rodzice, w ciężkiej walce o byt, starają się dzieciom zapewnić lepsze juto. Zaś o ojczyźnie, o usługach dla niej, o tem się nie myśli, a mówi jeszcze mniej. To nie

popłaca, a zresztą to idealizm, my zaś wymagamy „trzeźwości” w poglądach na życie.

My młodzież jesteśmy odbiciem starszego pokolenia, jego następną edycją; może już wyzwalamy się z egoistycznych i samolubnych poglądów, szerzej patrzymy na świat i mamy przebliski idealnych porywów, jednak zdarza się to nie często.

Nie zgadzam się z kolegą, twierdzącym, że chęć naprawiania istniejących już urządzeń jest „chronicznie chorobliwą”. Badanie rzeczy istniejących, poprawianie ich, lub odrzucanie, dadzą impuls do tworzenia nowych.

Naturalnie, że zasklepić się w jednym celu nie możemy i nikt tego nie wymaga, a jednak sprawa suteryn i poddaszy jest dla nas rzeczywiście kwestją, palącą, najpilniejszą.

Nie może być tam spokoju, miłości i dobrobytu, gdzie część narodu cierpi nędzę i skazana jest na zagładę.

Tego stanu nie wytworzyła tylko wojna, przesilenia i inflacja pieniężna, był on i dawniej.

Nędza była przed wojną i jest obecnie. Wspomnijmy czasy pańszczyzny, czasy ucisku narodowego w poszczególnych zaborach. Jednak pierwsza została zwalczona ustawodawstwem, z drugą można było walczyć drogą poniżenia narodowego, doba zaś dzisiejsza należy całkowicie do nas. Nie możemy uspakajać siebie myślą, że w innych państwach potężniejszych jest tak samo. Nie, tam wyzbyli się żebraków zgarbionych i skurczonych od zimna, tam istnieją dla nich przytulki i domy pracy, tam robotnicy zrzeszeni w kooperatywy są ubezpieczeni na czas bezrobocia lub w razie nieszczęśliwego wypadku, mają opiekę nad chorymi i nad dziećmi, a w kasach oszczędnościowych zabezpieczoną starość.

Stan dzisiejszy jest tam tylko przejściowym. Miema tam suteryn, mieszkań przerobionych z piwnic ze ścianami, po których spływa woda, a w których panuje wieczny mrok, dający przytułek nie tylko nędzy materialnej, ale i moralnej. Nie pleśnią tam dzieci do lat 10, nabierając złych nałogów i ucząc się zbrodni, gdyż od lat najmłodszych muszą iść do ochrony i szkoły, gdzie w atmosferze, zdrowej i wesołej spędzają większą część dnia. Więc za przykładem innych państw kulturalnych musimy zwalczać nędzę, ale tylko „razem, razem młodzi przyjaciele”. Ustawodawstwo i wysiłki całego społeczeństwa dadzą jaknajlepsze wyniki i nędzy będzie coraz mniej.

Nie myślimy, że praca taka zatrzyma rozwój kulturalny. Kultura jest wartością osobistą każdego

człowieka, a różniczkowanie następuje samo przez się.

Podnoszenie „do wyżyn ideału kulturę posiadających” uważam za bezcelowe, bo rozwój kultury jest naturalnym rozwojem ludzkości, zaś wysiłek społeczeństwa może tylko działać w kierunku zwaiczania tego wszystkiego, co stoi na drodze postępu. Taką właśnie przeszkodą jest brak oświaty, ciemnota idąca w parze z nędzą. Nie możemy czekać na dzień „kiedy wszyscy posiadający podzielą się swymi dobrami z cierpiącymi głód i nędzę. Możemy być pewni, że dzień ten nie nastąpi, ale za to, dzięki naszej pracy pozytywnej, przyjdzie czas, kiedy nie będzie ciemnoty, próżniactwa i pijaństwa, a kultura narodu podniesie się niewątpliwie.

Zgadzam się, że nie dokona tego jedno pokolenie, tem niemniej nie możemy zamykać oczu, usypiać swego sumienia rozumowaniem, że jesteśmy wybrańcami losu, że tak jest dobrze, było i być musi. Nie, to jest krzyżująca niesprawiedliwość!

Starajmy się sypać choćby okruchy ze swych zasobów talentu, energii i uczucia w te rzesze głodne duchowo i materialnie.

Nieśmy naszą pracę tam, gdzie są „masy czarne od fabrycznego pyłu, zżarte przez ziemskie choroby”, ale nie pracę rozkładową, nienawiści, złości, burzenie ideału religijnego i narodowego, a oświatę prawdziwą opartą o ideał Chrystusowy miłości i sprawiedliwości. To będzie właśnie „pomoc w czasie teraźniejszym pokoleniom przyszłym”, o której mówi Wł. St. Reymont,

C. Gerwinówna (Łomża G. Ż. M. K.).

Pod adresem p. J. Kurcysza.

Czytając uwagi nad artykułem „Parę słów w pałacej kwestji”, przysłałam do przekonania, że ich autor nie rozumiał zasadniczych myśli artykułu zamieszczonego w № 1 niniejszego czasopisma.

Nie rozumiał także tych dążeń, które niejednokrotnie w swych powieściach poruszał Żeromski.

Zgadzam się na to, że powołani jesteśmy do wysokich celów, ponieważ mamy budować przyszłość Polski.

Żeby zaś wypełnić swe zadanie musimy przystąpić do pracy pozytywnej. Jednak jak autor rozumie tę pracę pozytywną? Czyż polegać będzie ona na wprowadzaniu nowych urządzeń, mających na celu „podnoszenie do wyżyn ideału kultury

posiadających? Czyż mamy wprowadzać nowe urzędnika, nie walcząc o hasła? Czyż mamy wreszcie budować przyszłość Polski na zbudowanych fundamentach? Stanowczo nie.

Trudno sobie wyobrazić poprostu takie dążenia w XX wieku, które mają wprowadzić ten stan, że obok ludzi stojących na wysokim szczeblu kultury, będziemy widzieć całe masy ciemnoty i nędzy.

Zrozumieć trzeba wreszcie, że całego narodu nie reprezentuje tylko pewna warstwa ludzi, lecz wszyscy, poczynawszy od najniższych, a kończąc na najwyższych.

Naszym więc zadaniem będzie polepszyć byt tych najniższych i dążyć do zatarcia lub przynajmniej zmniejszenia różnic między warstwami społeczeństwa, a nie czekać, aż fabrykanci, bankierzy i tym podobni zdobędą niezmierny zasób cywilizacji i urzeczywistnią to.

Musimy przedewszystkiem:

1. dać nędzarzom pracę;
2. szerzyć pośród nich oświatę;
3. wprowadzić słuszny podział zysków.

Gdy to będzie, wówczas ci ciemni, mając możność rozwoju, sami podniosą swą kulturę.

Spełnimy tem poczęści jedną powinność, gdyż autorytet naszego kraju wzrośnie na zewnątrz.

Następnie uważam, że podnoszenie kultury warstw posiadających jest zupełnie niepotrzebne, bo poco mamy prowadzić za rękę tego, który potrafi już sam chodzić? Trzeba już raz skończyć z temi rojeniami, a za zadanie postawić właśnie tę pracę „w masach czarnych od fabrycznego pyłu i zżartych przez ziemskie choroby”. Nie mamy co odkładać, wspólnymi siłami walczmy o hasła, których wyrazem są nowe urzędnika, mające za trzeci piętno świata cywilizowanego — nędzę.

Czas już! Bo „kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego”.

K. Brzeziński (Ostrołęka G. M. St. L.)

Jeszcze „W pałacej kwestji”.

Odpowiedź, autorowi artykułu „Parę słów w pałacej kwestji”, jest w końcowej swej części stanowczo niepokojąca.

Autor odpowiedzi naucza, że nie należy ścieśniać swych celów do zwalczania jednej bolączki, chociażby nią była sama nędza „suteryn

i poddaszy”, że nie można ograniczyć swej przyszłości do walki z jednym złem, gdyż jesteśmy powołani do celów wysokich.

Z temi celami... Uważam je za megalomanię i sądzę, że trzeba by raz skończyć z temi romantycznymi porywami i wyrazami, a raczej myśleć o pracy, choć znacznie skromniejszej, lecz pozytywnej.

Wszak nie odrazu Kraków zbudowano!

Dlaczegoż to autor nie radzi zwalczać nędzy? Że zwalczanie daje nikłe rezultaty, to może być również i dowodem nieumiejętnego zwalczania jej.

A zresztą: „Czyżmy co każdemu każe duch Boży, a całość sama się złoży”.

Widocznie, jako jeden z celów wyższych, każe autor podnosić kulturę i cywilizację posiadających do ideału.

Pominawszy już całą niepraktyczność wskazywania, zauważę, że nie jest to cel zbyt wysoki, raczej widocznym w nim jest płaski sybarytyzm, ubrany, to prawa, w mgliste obietnice.

Ale...

Podnieśmy więc kulturę posiadających do ideału z pominięciem innych warstw. Skąd pewność, że, nim słońce tej kultury wszędzie, rosa masom nędzany oczu nie wyje?

Czy tylko nie późno będzie na podziały jej wynikami? Czy, aby będzie z kim się dzielić?

Skąd przeświadczenie, że jeśli podniesiemy do ideału kulturę posiadających, to zgodzą się oni na ten podział?

Przesłanek do tego nie widzę, w istnienie ich nie wierzę.

Nędza dla autora — to znowu wynik czasów powojennych.

A przed wojną jej nie było?

Chodziło pewnie o pogłębienie, lub rozszerzenie?

Polska — to najmłodsza „z cór świata”, dobrze, że nie państwo sezonowe (cieszyłoby się Niemcy, gdyby „U Progu” czytali) — ani to prawdą historyczną ani udatnym porównanie jej do nowonarodzonego zziębniętego dziecka nie jest. Hm, zziębniętego.

Jeszcze pytanie.

A czy te masy, które zginą w nędzy, w wyziewach stęchlizny, a którym musimy dopomóc, że i my też zginiemy zechcą czekać owego dnia podziału, dnia jakiegś ogólnej darowizny, łaski, zwłaszcza, że pozbawia je auter oświaty, bo gdzie i nędza tam podobno zawczasie na oświatę?

Wśród jakich warunków może powstawać oświata wskazał Żeromski w powieści p.t., „Charitas”.

Bo może się zdarzyć, że chcąc dzień ów przyspieszyć, nie rozumiejąc usiłowań „góry”, masy wszystko popsują.

Czy wreszcie uwierzą w ten dzień?

No! Poczucie sprawiedliwości jest jeszcze tak silne, że w podobne mrzonki nikt nie uwierzy, bo nie mają one za sobą cienia słuszności.

Autor odpowiedzi mówi, że nędzy nigdy nie zwalczymy!

Pewnie, ale nędzy, wynikłej z wyjątkowych warunków.

Nałogowy alkoholik przepije wszystko, co posiada, na to nie ma rady, ale nędza u ludzi normalnych, chcących pracować może, a nawet winna być zwalczoną.

Pewne, że i potentaci światowi mają u siebie nędzarzy, ale liczymy ich procentowo zbadajmy ich zamiłowanie do pracy i dopiero ferujmy wyroki o zwalczalności lub niezwalczalności nędzy.

Wydzwignięcie zaś z nędzy to nie akt darowizny, to nie podział, nie udzielenie części swego majątku to raczej danie możności zarobkowania.

Sądzę więc, że twierdzenie o niezwalczalności nędzy zostało wypowiedziane zbyt pohopnie, jak też za pohopne jest skazanie całych mas na wymarcie.

Strasznie zimna rachuba!

Sam pomysł pracy pośród posiadających traci kaskadowość.

Wszelkie jednak mury chińskie, odgraniczenia i ograniczenia są rzeczą przestarzałą, niepraktyczną, jak niewykonalną, przeto nie da się pomyśleć podnoszenie jednej warstwy z zaniedbaniem drugiej.

Zupełnie równocześnie można pracować nad podniesieniem kultury posiadających, zwalczając nędzę warstw niższych, jedno drugiemu nie przeszkadza, owszem sprawy te dopełniają się.

Teraz o samej metodzie pracy.

Autor twierdzi, że nie powinniśmy zgłębiać, krytykować, lecz, że musimy tworzyć nowe urzędnika, coraz większe, coraz potężniejsze.

Powoli, powoli.

Musimy zgłębiać badać, krytykować.

Inaczej niczego większego nie stworzymy, a nawet temu, co istnieje, nie dorównamy.

Bo i jakże?!

Nim powstanie jakieś dzieło, musi istnieć jego idea, koncepcja, więc jakże tak bez zastanowienia i wielkie rzeczy odrazu?!

Byli już tacy, którzy twierdzili, że tylko tyle należy cofać się do tyłu ile potrzeba rozbiegu, aby rów przeskoczyć, ale tak zupełnie, bez rozważań i naprzód — nie słyszałem.

Tadeusz Choromański (Łomża. G. T. K.).

Głos w dyskusji.

Po przeczytaniu artykułu kol. Kurcyusza p. t. „Autorowi artykułu „Parę słów w pałacej kwestji”, doznałem uczucia nie tylko wielkiego zawodu, że takie owoce osiągnął artykuł kol. Sokorskiego, ale zarazem uczucia wielkiego sprzeciwu w rozwiązaniu (jeżeli wogóle tak nazwać można to, co napisał o owej bolączce kol. Kurcyusz) owej pałacej kwestji i niektórych zapatrywań na nią. Artykuł ten nie tylko, że neguje tak piękne idee i hasła, podjęte w art. kol. Sokorskiego, lecz jeszcze przytłacza tę kwestję jakimś ogromnym kamieniem, na którym widnieje napis: „Nic z tego, nędza była i będzie, na tem polu my młodzież w kierunku faktycznie pozytywnym nie działamy nic — są sprawy o wiele ważniejsze”. — Jakie są te sprawy? i dlaczego są one dla naszej ojczyzny ważniejsze? — Zaznaczyć tu wypada pewną niejasność w początkach rozumowania kol. Kurcyusza. Na tych to pytaniach zatrzymam się w określaniu tego artykułu ogólnie i otwierając moją dalszą dyskusję zacznę rozbierać go gruntownie.

W pierwszych słowach wywodów kol. Kurcyusza o owej pałacej kwestji, spychających ją jakby do rzędu podrzędnych, w każdym razie niepilnych, mających swe rozwiązanie gdzieś w przestworzach (?), przed którą stoi cały szereg słusznie, czy niesłusznie naglejszych, wznioślejszych (wszystkie one mają na końcu znak zapytania — nie wymienione są wcale), przewija się niby sycząca żmija, która od wieków toczyła i jeszcze dotychczas toczy skołatany naród polski, — iście polska opieszałość, brak realnej chęci do pracy, skąd przekładanie jednej kwestji nad drugą, tej nad tamtą, a ostatnią znowu nad jakąś inną potrzebniejszą, „wznioślejszą”. Wszystko to prowadzi wkońcu do czego? — Do niczego, do niczego absolutnie — do pograżenia się miłego i przyjemnego w chronicznej beczynności, upajania się jakimiś rojeniami i pustymi frazesami.

Miedzy innymi takie powiedzenie — kol. Kurcyusza „Czy możemy ograniczyć swą przyszłość do walki z jednym złem, z jedną chorobą narodu, a zapomnieć o całym szeregu zadań i prac...” — to proszę mi darować, gdy powiem, że to gorzkie

puste frazesy. Bardzo to piękne hasła rozpoczęcie pracy na tak olbrzymią skalę — bardzo piękne i wzniosłe, ależ tembardziej nie mamy prawa odrzucać nawet tak „drobniutkiej” kwestji, jaką jest nędza, przeciwnie zaczniemy walkę od takich „maciupenkich” rzeczy — my młodzież! pełna życia, inicjatywy i pomysłów, tu pokażmy, co potrafimy zdziałać, a potem zabierzmy się do tych „wznioślejszych” spraw.

Nie przeczę, że obecnie Polska ma dużo innych bolączek, lecz ta, którą poruszał kol. Sokorski, napewno nie ustępuje żadnej; załatwienie jej zaleczyłoby może wiele innych i jeszcze, więcej powiem, uporczywe stawianie tej kwestji przez społeczeństwo przed samem sobą, zwróciłoby uwagę i ogólną opinię na wiele, wiele innych bezpraw, dziejących się w naszej ojczyźnie. A praca owa napewno nie będzie przyczyniała się do odjęcia rąk naszych od innych celów równie pięknych i pożytecznych, a przeciwnie będziemy mogli je prowadzić wspólnie, a jeden — drugi będzie podpierał, będzie dawał żywotne soki do walki o inny.

Odbiegając nieco od tematu właściwego i idąc tokiem rozumowań kol. Kurcyusza powiem: dość wiary ongiś przodków naszych, choć pięknej, pełnej głębokiej miłości dla wielkich ideałów w Polskę — Chrystusa Narodów, dość szumnych frazesów niewiadomo, na czym opartych, jak znowu „Polski najmłodszy z pośród cór świata” — dość tego — na tym, aż za poetycznie brzmiącym słówku, Polski budować nie będziemy, ani też ono nie będzie zabezpieczało Jej terazniejszy niepodległy byt, a zamiast tego wszystkiego pokażmy światu ową pozytywną pracę, pracę nad reformami najbardziej nas piekącemi i nagłącemi.

Polska to nie najmłodsza z pośród cór świata ani też „cudownie odrodzona”, bo Polska została odrodzona miłością, trudami, mękami i krwią naszych dziadów i ojców. Nie najmłodsza! — Ma ona za sobą przeszłość pełną bólów i cierpień — przeszłość pouczającą — ma ona swoje dziejowe doświadczenia.

Doskonale wiemy, co nam brakuje, potrzeba nam tylko wielkiego ukochania ojczyzny, wytrwałości w pracach dla Niej i siły woli. — Nie wolno nam nad sprawą, którą psuła organizm Polski stawiać krzyżyka, chociażby była do wykonania trudną, szczególnie zaś nad taką sprawą, jaką jest nędza. — Ogarnia ona coraz to szersze warstwy naszego społeczeństwa, pozwala gnić przyszłym, może rokującym największe nadzieje synom Polski, wyrwa ręką złoczyńcy, ostatnią szczyptę miłości

dla Niej, demoralizuje, przygotowuje odpowiedni grunt do agitacji wrogów naszych.

To nieprawda, że nędza istnieć musi, i że byśmy się łudzili zaradzeniu jej — my młodzież jako najżywotniejsza część narodu, pierwsi powinniśmy temu zaprotestować. Jeszcze ciągle brzmią te nigdy nie milknące hasła: „Mierz siłę na zamiary nie zamiar podług sił!” — „Młodości ty nad poziomy wylatuj!” — oto co nam zostawili w spuściznie, nasi, wielcy przodkowie, to było „ideałem marzeń i rojeń naszych ojców”.

Sposób rozwiązania kwestji, jak to przeprowadza kol. Kurcyusz, postawiwszy przedtem nad tą sprawą zupełny krzyżyk, wkracza na drogę beznadziejności.

Majątne warstwy umoralniają się setki lat, — umoralniać ich nie potrzebujemy. — Takie rozwiązanie, teoretycznie biorąc dość logiczne, w praktyce nie daje zgoła nic realnego, pozytywnego, a dążenie do niego pełne niepewności na swej drodze i znaków zaptania. Więc każdy przyzna, że pracą deleko pewniejszą, dającą coś w ręce, jakąś nie przewodnią, którą o ile zdołamy misternie precyzyjnie, nie zerwawszy jej, doprowadzi nas do celu — jest praca nas, młodzieży — pojęta realnie.

Dlaczego boimy się pracy w dążeniu do jakiegoś celu, bliższej, realniejszej? dlaczego odrzucamy środki radykalniejsze? Dlaczego mamy wybierać jakieś utopijne i niejasne? — Znowu występuje tu to polskie dziwne niezdecydowanie, odwlekane i przewlekane, lubowanie się w głoszeniu hasła i idei, które nie wiele mają wspólnego z rzeczywistością, stanowią obronę ludzi nieczynu, owych właśnie majątnych, którym się dobrze dzieje. Nie mamy wcale zamiaru umoralniać gruboskórych bogaczy — nie mamy zamiaru tego „tytanicznego” — dzieła ludzkości spełniać. — Nie pozwolimy, by ginęły masy w chorobach i brudzie. Pamiętajmy, że historia może się na nas w przyszłości zemścić.

Kończąc już, zaznaczę i podkreślę jedną rzecz: my młodzi miejmy wogóle więcej młodzieńczego polotu w różnych sprawach, niekiedy może i fantazji, mogącej być również w skutkach swoich owocną, a mniej pesymizmu ludzi starych (i to nie zawsze), którzy w zapatrywaniach swoich dobiegli już pewnego, niezmiennego, słusznego czy niesłusznego kresu.

Młodzież nie ulegająca urokowi pięknej idei — nie pragnąca walczyć o ideały ogólnoludzkie, nie wiele jest warta, gdyż człowiek z wiekiem

staje się coraz mniej wrażliwy i coraz bardziej zasklepia się w sobie więc, jeżeli w młodości nie posiada pewnej zdolności do entuzjazmu i ofiar, to co z niej będzie na starość?

(Powyższym artykułem zamykamy dyskusję. Redakcja).

Jerzy Korwin (Łomża G.M.X.P.S.)

Do Pieśni.

O Pieśni ma, Ty orle srebrnopyłory!

Wichrowym lotem goń

W błękity!

Uderz skrzydłami i leć przez lazury

Nad modrą morza toń,

Nad szczyty!

Leć niby orkan z wichrami w zawody,

Ku słońcu w niebo leć —

Szalona!

Tam wdali kręcą się gwiazd korowody,

Tam swoim skrzydłem świeć

Stęskniona.

Bo Twa Ojczyzna, to — przestwory Boże

Tam Tobie tylko żyć —

Przez wieki!

Tam Twe w błękitach purpurowe łoże,

Nad głową ognia wić —

Słońce spieki.

„H e r m a”.

Codziennie i zawsze o tej samej porze, gdy słońce swą krwawo złotą tarczę wśród aureoli z promieni zorzy wieczornej ukrywało het, gdzieś za bezbrzeżnym horyzontem, gdy dwie kule czerwone przyglądały się sobie i z ciekawości przybliżały do siebie coraz bardziej, . . . coraz bardziej, aż wreszcie zlewały się w jedną wielką smugę purpury. Jedna kula na zachodniej stronie nieba, druga w kryształowej toni morza.

— Codziennie więc o zachodzie słońca, gdy oparłszy się o wysoką poręcz pomostu chłonałem czar zachodu za fale morza, widziałem „Ją”, gdy jechała łódka.

Jakie było jej imię nie wiedziałem, kim była — nie pragnąłem wiedzieć. Wystarczała mi świadomość, że widzę ją dziś, że zobaczę jutro, pojutrze, za tydzień. Wiedziałem tylko, że ma kształtną, choć drobną figurę, kruczo-czarne włosy, obcięte i falujące w wielkie nierówne pukle, że ma prześliczny owal drobnej twarzyczki o wyrazistych, klasycznych, greckich prawie rysach.

I co wieczora w tej właśnie chwili, gdy słońce stykać się zaczynało z szafirowym morzem widziałem ją na łódce, zawsze tej samej, opartą o maszt, na którym bielił się rozpostarty trójkąt żagla.

Stała odwrócona ku zachodowi i kazała staremu rybakowi, co siedział u steru, na zachód płynąć.

Gdy stała tak, oparta całym ciałem o słup masztowy, z odrzuconą w tył głową, z zaciśniętymi ustami i zapatrzonymi w dal ku słońcu pięknymi, wielkimi oczyma — wyglądała jak bóstwo — jak bogini światła — gdy zegna słońce, pana swego, jakimś ceremonjałem pięknym, a dziwnym.

I było coś niezmiernie uroczego, coś niewymownie, serdecznie pięknego w tej łodzi małej, ukrytej prawie pod dużym, białym płótnem żagla, gdy wioząc na sobie „ją” — boginię światła — płynęła po falach purpurowych i lśniących rubinowymi cieniami.

Było coś majestatycznego, coś królewskiego w lekkim kołysaniu się łodzi do rytmu dźwięków orkiestry, grającej gdzieś, na brzegu, jakieś poważne wyjątki z oper.

I nigdy nie mogłem napatrzeć się dosyć na te dwa cuda natury. — Na zachód słońca, spowitego w królewskie purpury i na nią, w małej żaglówce.

Gdy zbliżała się chwila zachodu jakaś siła niewytłomaczona gnała mnie na pomost, jakaś siła kazała opierać się o poręcz i szukać wzrokiem między łódkami rybaków, czerniejącymi hen, na brzegu, azali nie wysunie się na jednej z nich, moja „księżniczka”.

Łódkę jej znałem doskonale.

Zwała się „Herma”. Imię, zaiste, godne jachtu księżniczki.

Jakaś oryginalna dzikość, wolność, swoboda i piękno z imienia tego przechodziły na łódkę samą.

Zbudowana zgrabnie, delikatnie, robiła wrażenie jakiegoś morskiego delfina — pływaka.

. . . A może to wdzięk mojej księżniczki, czynił łódkę tak piękną? . . .

Kiedy wracała z tych morskich wędrówek? — Niewiedziałem.

— Raz jednak przypadkiem zupełnie zostałem nad brzegiem dłużej niż zazwyczaj. Chodziłem tam i napowrót po długiej, lipami wielkimi wysadzanej alei.

. . . . Orkiestra grała marsza z „Fausta”.

Potężne akordy rozbrzmiewały jakoś posępnie, groźnie . . . A tam niżej rozświetlone mnogimi

kręgami jasności padającej z pomostowych latarni, stało morze. Gładkie i ciche i ciemne, jak letnia noc

Nagle coś mnie tknęło. Mimowoli skrzyłem na pomost. Wyjrzałem za poręcz . . . Wracła jakaś łódka na żaglu bielejącym w mrokach.

Płynęła cichutko, nieznacznie.

Jak duch lub mgiełny opar sunęła po falach.

Wtem weszła w krąg świetlny . . .

Odczytałem na burcie wielkimi białymi literami wypisane: „Herma”. Poszedłem równolegle do biegu łodzi i gdy po raz drugi padły na nią silne, elektryczne błyski-wyteżyłem wzrok . . . Na ławeczce pod mostem siedziała jakaś postać.

Twarz miała ukrytą w dłoniach—niewidzialną. — Pomimo to jednak poznałem. Była to moja „księżniczka”.

Jakiś dziwny, niewytłomaczony smutek nappełnił mi serce.

Żal jakiś ścisnął żelazną obręczą za gardło.— Stałem tak długo oparty o wysoką balustradę, z oczyma zatopionymi gdzieś w ciemnościach. Tęsknota jakaś przedziwna owładnęła całym moim jestestwem

Przypisywałem to wówczas silnemu rozdrażnieniu nerwów pod wpływem poważnej muzyki...

Lecz teraz wiem, że było to złe przeczucie.

Następnego dnia morze było spokojne i równe, jak tafla lustrzana, ale od samego rana wiał silny wiatr od łądu.

Kolega mój...

Mało jest na świecie ludzi, o tak precyzyjnym systemie nerwowym, jakim cieszy się mój serdeczny kolega. Nazwisko jego pozostawię chyba w tajemnicy. Pocóż biedakowi przyszywać łatkę na samym froncie, pocóż przysparzać mu trosk, kiedy i tak ma ich dosyć. Byłoby to wielce nie po chrześcijańsku i kolega mógłby się słusznie obrazić, a chłopiec jest przytem nerwowym...

Poznaliśmy się i pokochali wzajemnie jeszcze w piątej klasie. Ot tak, ni stąd, ni zowąd; ja jemu wpadłem w oko, on mnie i przyjaźń gotowa.

Kiedy na mocy niesprawiedliwego wyroku Rady pedagogicznej pozostałem w piątej na drugi rok, kolega uparł się towarzyszyć mi i... został się także.

Fakt ten usunął wszelkie wątpliwości, co do bezinteresownej przyjaźni mojego druha, zacieśnił

Rybacy ostrzegali każdego wiosłarza o niebezpieczeństwie odjeżdżania daleko. Pod wieczór morze pokryło się małymi grzbiecikami fal — z każdą chwilą jednak zwiększających się.

I tak, im niżej słońce chyliło się ku morzu, tem gwałtowniejsza zrywała się fala, tem większy szum rozlegał się na brzegu.

Czerwone słońce zapełniło snąć morskie fale, huczały z wściekłością.

Ogromnie byłem ciekawy, czy zobaczę dziś „księżniczkę”? Czy nie ulęknie się fali i wiatru i pójdzie spełnić swój obowiązek — pożegnać słońce. —

Stałem oparty łokciami o balustradę, w znanym mi dobrze miejscu pomostu i pilnie obserwowałem brzeg.

Ani jednej łodzi rybackiej na wiosłach, nie mówiąc już o żaglówkach i spacerowych jachtach, nie było dokoła. Pusto w całej zatoce.

Tylko tam gdzieś, het, daleko okręt jakiś wielki sunie po toni.

. . . . Nagle — biały żagiel zamajaczył od brzegu. Łódź jakaś kładąc się prawie bokami na falach, kołysząc żaglem na prawo, na lewo w wielkich skokach sunęła naprzód, szybko.

Ledwie ujrzałem, a już była przy pomoście.

O maszt oparta, obojętna na burzę, z oczyma wlepionymi w krwawą tarczę słońca, stała — „księżniczka”.

włęży naszego duchowego pobratymstwa i aż dotąd nikt z nas drugiemu nie sprzeniewierzył się.

Zewnętrznie kolega mój nie imponuje żadnym piękniejszym szczegółem. Mówią niektóre koleżanki, że jest dosyć przystojny, chociaż ja, prócz duchowych zalet, żadnej w nim innej piękności nie widzę. Powiem nawet w tajemnicy (bardzo proszę o sekret), że kolega mój jest zupełnie brzydki. Wzrost wysoki, twarz blada, oczy bezbarwne i zaspane, czoło niskie, mina samobójcy — oto mój kolega.

Ubiera się skromnie, lecz z gustem. W dnie powszednie nosi zwykle siwe spodnie, zielonkawą marynarkę i czerwony krawat. W niedzielę i podczas większych świąt zakłada zielonkawę spodnie, siwą marynarkę i czarną muszkę.

Z przekonań politycznych jest skrajnym endekiem, gdy jednak podczas dyskusji na ten temat spytałem go mimochodem, czy wteńce endeków jest w sejmie, czy u niego na cenzurze.

Gdy mijala mnie łódź — rozkołysana, rozhybotana w jakimś tańcu obłąkańczym, „księżniczka” spojrzała na falę.

Spojrzała i obraz przerażenia odbił się w jej wzroku.

Rozszerzone—nienaturalne źrenice wpatrzyły się w olbrzymie fale, zakończone białym tryskającym i syczącym grzebieniem piany.

Lecz nie kazała zawrócić rybakowi. Podniosła zwolna głowę, odrzuciła przyszyżone pukle energicznym ruchem i w purpurowych refleksach słonecznych promieni — „Herma” znikła mi z oczu.

Gdy nazajutrz o zwykłej porze czatowałem na pomoście — „księżniczki” nie było.

Nie widziałem jej, ani następnego dnia, ani potem

J. K-z.

Ank.-Kal. (Łomża G. T. K.).

Choć nie mam lasów . . .

*Choć nie mam lasów, ani pól,
Ni szmaragdowych kwiatnych łąk,
Ni chlebobajnych, żywnych ról,
Szumiących piosenki ludzom w krąg.*

*Choć nie mam siól, ani rzek,
Co wiją się wśród dolin, wzgórz,
Zdobi mię jednak młody wiek
I świeci mi blask złotych zórz.*

obraził się i nie rozmawiał ze mną przez cały następny dzień.

Kolega mój jest trochę filozofem, trochę poetą. Raz na żywe oczy widziałem, jak do albumiku koleżanki wpisywał własnej kompozycji sonet, w którym każdy drugi wiersz rymował się z następnymi słowami „w grobie, Tobie”.

W filozofii kolega mój przeszedł wszystkich współczesnych i dawnych uczonych, nie trzyma się bowiem żadnego utartego kierunku, odrzuca obie metody dowodzenia: indukcyjną i dedukcyjną, przeprowadzając zapatrywania swoje, lub poglądy na jakąś rzecz zupełnie nowym systemem. Mianowicie posługuje się tylko założeniem i wnioskiem. Jako przykład posłuży mi jego oryginalny pogląd na istotę szczęścia.

— Każdy człowiek jest nieszczęśliwy — wygłasza kolega, w postaci sądu ogólnego, twierdząc swoją nieomylną tezę.

*Mam przeogromną serca moc,
Wiare w potęgę młodych sił,
Co zwalczą przeszkód—ciemną noc,
Skruszą na zawsze w proch i pył.*

*Mam duszy hart i zapal mam,
Na ustach zaś wesoly śpiew.
Pukam do życia złotych bram,
Radosny wokół niosę zew:*

*Gdy młodość masz, o nie smuć się,
Że nie posiadasz pól, ni łąk,
Gdyż wiosna lat swobodą tchnie
I darzy szczęściem wielkiem wkrąg.*

Jan Lazur (Grajewo G. K. M. K.)

Z nad granicy.

O, jak słodko pomarzyć na gruzach dawnych pamiątek, a jak błogo robi się na duszy, gdy patrzymy na niezatarte jeszcze ślady minionej przeszłości.

Po ziemiach polskich wznoszą się jeszcze gdzieś niedługo zręby powalonych zamków, a na wschodnich, hen rubieżach, na dalekim widnokręgu — tam prastare śpią kurhany . . Każda piędź ziemi naszej, przesłaknięta jest krwią poległych za wolność narodu rycerzy, każdy zakątek kraju ma swoje pamiątki, które czci, jako najświętsze relikwie.

O cztery kilometry od Grajewa, nad samym już rowem granicznym, a tuż zaraz za wsią Bogusze,

Próbuję go zmieszać i odrazu stawiam gwałtowny zarzut . . .

— Więc szczęście nie istnieje!

— Naturalnie — odpowiada mi ze stoickim spokojem.

Jestem zdumiony. — Jako — próbuję jeszcze oponować, — więc i ci, którzy są szczęśliwi także należą do nieszczęśliwych?! . . .

— To są wyjątki . . .

— A szczęście mimo to nie istnieje?

— Nie istnieje.

Innym razem poruszaliśmy myśl przewodnią „Ludzi bezdomnych”. Oddałem koledze pierszeństwo głosu, zapytawszy uprzednio w formie nawiązania tematu.

— Co sądzisz o Judymie?

— Warjat skończony.

— No, a idea przewodnia?

— Bardzo głupia, oparta na frazesach.

wznosi się na ciemnym tle borów, graniczny słup, łudzaco przypominający kapliczkę. Ów słup — pomnik ma już za sobą długie, długie lata . . wieki całe. Wzniesiony został w 1545 roku przez Zygmunta Starego — przy rozgraniczeniu Prus, stanowiących lenno Albrechta, od Korony. Przypomina nam ów akt hołdu pruskiego pamiętny a nieopatrny, uwieczniony tak cudownie na płótnie ręką Matejki. Czy był to może dzień triumfu Polski? O, nie! . . z tą samą chwilą, gdy nastąpiła sekularyzacja Prus Książęcych, gdy Zygmunt Stary wręczał Albertowi lenniczy proporzec, z głębi puszczy mazurskich wyjrzała straszliwa hydra, widmo późniejszych królów pruskich. Polska, w osobie Zygmunta Starego przypinała skrzydła późniejszym śmiertelnym swym wrogom, którzy nie zawahali się wziąć udziału w jej rozbiorach.

Pomnik ten widział bardzo wiele . . Obok niego przewaliła się nawała Szwedów za Jana Kazimierza, on był świadkiem pamiętnej bitwy pod Prostkami, odtworzonej przez Sienkiewicza w „Potopie“, ten sam pomnik widział jak z Prus ciągnęły do Polski tysiące pruskich żołdaków idących na grabież Polski, widział wojska napoleońskie, wkraczające do Prus, słyszał jęki mordowanych Niemców, a 6 lat temu patrzył, jak Niemcy gościnnie przyjmowali zbiegłych po pogromie pod Warszawą — kozaków Budiennego.

Dziś to wszystko przeszło, zda się, bez śladu — ale on ciągle patrzy i czuwa . . czasem tylko u stóp jego zamajaczy sylwetka naszego strażnika

— Daj spokój, przecież to jedno z najlepszych dzieł naszej literatury.

— Co? co? Najlepsze dzieło?? a „Trędowata“ Mniszkówny, a „Tętent“, a „Kult ciała“? — Chyba, żeś nie czytał! To są najlepsze dzieła!

Kolega jest nerwowy i łatwo się zapala, więc, nie czekając na wybuch, przerwałem dyskusję.

Takim mniej więcej sądem, jak literaturę, darzy mój kolega młodą łomżyńską prasę.

„Czuwaja“ nienawidzi, „Seminarzysta“ pogardza, zaś na miesięcznik „U progu“ wogóle patrzeć nie chce.

— Mój drogi! — odpowiada zawsze niewzruszony, gdy go namawiam, żeby przeczytał jaki artykuł kol. Sokorskiego — czy tam jest co o miłości?...

— Więc może wierszyk, który poznasz. Takie są ładne, np. „Purpurowe kwiaty“...

— Mój drogi, ja sam jeszcze lepsze tworzę. Mam nawet jeden przy sobie, króciutki, pod tytułem „Tęsknota upiöra“ — przeczytam, chcesz?

celnego, lub kogoś, co pragnie tu koło niego postuchać jak bór gwarzy . . Powiadają starzy ludzie, że pod nim są zakopane jakoweś pamiątkowe i ważne bardzo dokumenty, które lat temu 50-ą, chcieli siłą zabrać Niemcy, ale dzielni Boguszewianie dzień i noc czuwali koło pomnika gotowi walczyć jak dawniej . . i Niemcy ze wstydem poniechali zamiaru.

Pomnik ów, był już kilka razy odnawiany, przez to jednak zatracił swój pierwotny charakter i piękno.

Tuż koło niego przewija się siną wstęgą rozlany szeroko Łęg (Elk), za nim widać czerwone dachy domów w Prostkach. Jakież dziwny stanowią kontrast, te świeżo pobudowane domy niemieckie, wszystkie modłą Biedermajera, ale o silnym piętnie koszarowym, w porównaniu z omszonymi strzechami naszej wioski.

Na świeżym tynku naszego pomnika, pod samą tablicą uwieczniającą datę postawienia go, widnieje szereg napisów ołówkowych. Oto niektóre. 1) „Mazurze, ocknij się i czuwal, godzina twego wyzwolenia już bliska“. 2) „Wystąpmy bracia do boju, ta ziemia nasza“, 3) „Bracia nie zapominajmy o naszej ziemi“, 4) „Lat dwadzieścia nasze męże, los po obcych ziemiach gnał“.

(Faktu tego nie pochwalamy. Należy szanować zabytki i strzec je przed niszczeniem lub szpeceniem“ do czego właśnie zmierza rysowanie powierzchni pomnika. Przyp. red.).

— Może innym razem, jestem widzisz teraz, tego... właśnie wychodzę — tłumaczyłem się pośpiesznie i czempredziej kładłem na siebie palto.

Przed paru dniami kolega mój, przyszedłszy do mnie, jak zwykle, już od progu zaczął podniesionym głosem.

— Jest braciszku w Łomży gazeta! Dostałem właśnie od jednego harcerza!... chodźno, popatrz! Zaciekawiony wziąłem do ręki podawaną płachetkę papieru i odrazu rzucił mi się w oczy artykuł Salomona... „Qui bono?“ Dobrą firmę poznaje się po towarze. Nie patrząc na tytuł, wiedziałem, jaką zawiera „Myśl“ ten czcigodny organ, puszczany dziwnym trafem w kurs przez harcerza.

— Mój kochany! — zwróciłem się do kolegi — pójdźmy w kompromis. Ty nie czytasz tych gazet, które ja lubię, więc chyba i swoich mi nie przynosisz.

Niedawno temu (przed ostatniem odnowieniem) służył on za środek i cel polemiki polsko — niemieckiej. Każdego ranka można było znaleźć tu nowe, wyzywające napisy Niemców i cięte odpowiedzi na nie, uczniaków boguszewskich . . dziś znów będzie to samo, bo oto już tak dużo ich jest na świeżo otynkowanych ścianach.

Latem przybywają do niego dość licznie Grajewianie, szczególnie młodzież szkolna, każdego święta, wieczorem można tu słyszeć grającą w Prostkach orkiestrę niemiecką.

Najczęściej słyszy się o sławione: „Deutschland, Deutschland . .“ Czasem znów odwiedzają te strony strzelcy konni 9 p. wywołując niejednokrotnie popłoch wśród Niemców.

— — — — —
Stoi ten słup graniczny, strzegąc naszych granic, stoi — jak czujka polska, przyozdobiony w herby Polski — Zygmuntońskiej, głosząc włosce i światu, że na tych ziemiach ciągnących się hen daleko poza niego, poza bory, łąki, jeziora łała się obficie krew polska, i że te ziemie niemogą być niemieckie, ale nasze, ale polskie, że Mazurzy niemogą być Niemcami, bo serca mają polskie, i codzień, kiedy latem wychodzą w pole, zwracają w stronę Polski zażławione oczy, wyciągają ku niej ramiona wołając: „Matko, Matko azaliś zapomniła o dzieciach swoich, azali masz być macochą — nie matką naszą“ . .

Kolega mój znów się obraził...

W karnawale byliśmy na jakiejś uroczystości rodzinnej u znajomych i wtedy wykryłem nową cechę w usposobieniu mojego kolegi.

Człowiek ten nie pije wódki.

Młodzieniec dziewiętnastoletni, mający pretensje do matury, gdy mu jeden z gości uprzejmie zaproponował:

— Może pan panie kieliszeczek ze mną... — odpowiedział wyraźnie i głośno — dziękuję, nie piję.

Spojrzałem nań zdumiony i przy pierwszej sposobności nie omieszkalem zapytać, dlaczego odmówił wypicia kieliszka wódki? Kolega spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Poco ci ta wiadomość?...

— No, bo... tak sobie — odparłem.

— Nie rozumiem — wybuchnął wtedy kolega — nie rozumiem, jak ten gość śmiał mi coś podobnego zaproponować. Sam wypił ze dwie butelki, a mnie kieliszkiem chciał uraczyć?

T. Kornacki (Ostrołęka, G. M. St. L.)

Nowy pamiętnik cyklisty.

(Dalszy ciąg).

Po przeprawie — tak przeprawie — przez brudną żydowską dzielnicę, mile uderza w oczy kościół ciechanowski z końca 14 wieku. Styl gotycki został zeszepeczony przez późniejsze dodatki. W niewielkiej odległości od kościoła na górze nad rzeką wznosi się dzwonnica pękata u dołu, a u góry z pretensjami do strzelistego gotyku.

Mieszkańcy Ciechanowa i okolicy widocznie nie często mają sposobność oglądania „artystów z bożej łaski“. Nie okazali bowiem wielkiego zrozumienia dla mych malarskich intencji i uznali mnie raczej za „taksatora“, który przyjechał opisywać i rysować ich budynki, by później podwyższyć opłatę ubezpieczeniową. Stosownie też do tego byłem traktowany podejrzliwie, jako człowiek niebezpieczny, bo ktoby tam bez racyj jeździł i malował domy.

Opuszczam przeto niegościnnie Ciechanów i względną szosą przez Płońsk śpieszę do „uduchowionego“ Płocka.

Czytelnicy wiedzą, że Płock jest siedzibą biskupa katolickiego, ale zapewne nie wiedzą, że został ogłoszony za „stolicę chrześcijaństwa“ przez marjawitów, którzy tam prowadzą, a przynajmniej prowadzili, odpowiednie „księgi żywota“, do których za pewną, zresztą skromną opłatą, mógł się zapi-

Niech go piorun trzaśnie!...

Naturalnie byłem szczerze oburzony i potępiłem w duszy brzydki nałóg tego pana, co tak dużo trunku jednorazowo używa, abstynencja kolegi natomiast mocno mi zaimponowała.

Prócz mnie kolega nikogo nie darzy swoją zaszczytną przyjaźnią. Do wszystkich organizacji „kół“, „kółek“ i „kółeczek“ uczniowskich odnosi się z wielką rezerwą, nie udzielając się prawie życiu wewnętrznemu szkoły.

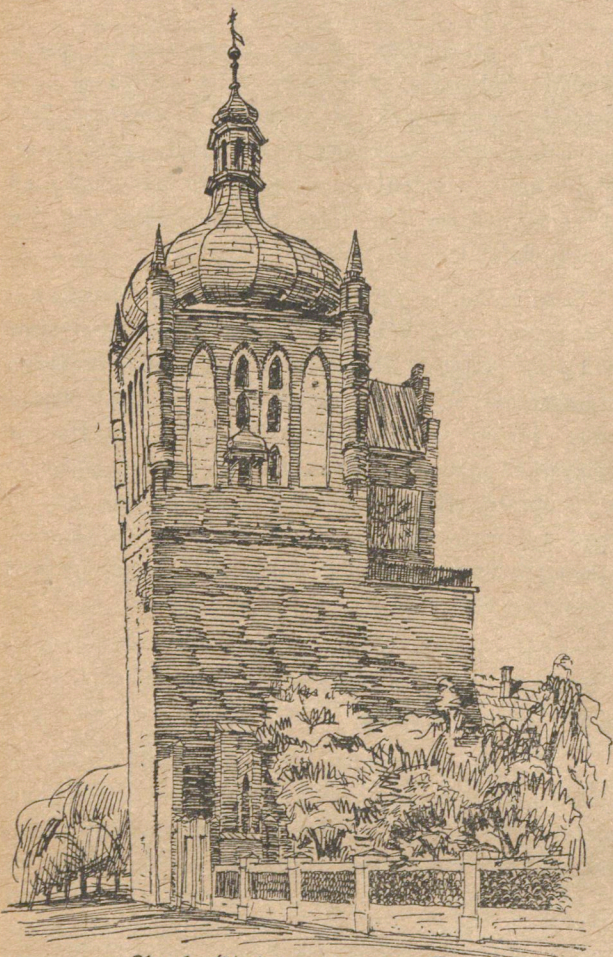
Ach! zapomniałem nadmienić. Kolega mój ma bardzo piękne imię, nazywa się Dyzio.

Jeżeli go która z pięknych czytelniczek, lub, który z mniej pięknych czytelników zna osobiście, to polecam bliższej uwadze. To naprawdę typ ciekawy, tylko powtarzam nerwowo, bardzo nerwowo.

Ig.

sać każdy, żyd czy katolik, i otrzymać gwarancję istnienia in perpetuum.

Czyż to nie wygodne?



Płock, Wieża zegarowa, Horna 1926.

Zdaleka, stosownie do wyżej wspomnianych aspiracji, najlepiej są widoczne gotyckie wieże (gotyk nowoczesny) kościoła marjawickiego, następnie ewangelickiego, a katedra katolicka skromnie kryje się wśród bujnej zieleni, tak, że trzeba jej dopatrywać się pilnie.

I nikt nie straci na tem poszukiwaniu.

Oczom zrozpaczonego wędrowca ukaże się wreszcie majestatyczna sylweta katedry, wykonanej w dolnej części z ciosu, w górnej z cegły. Front jej poważny, harmonijny. Tablica erekcyjna skończonem arcydziełem. A wewnątrz!

„Tu mi daj, muzu, usta stu Homerów”—ale, mam tylko jedno, a w nich miast stu-jeden język. Nie odważę się przeto na zuchwalstwo opisywania wnętrza katedry, zwłaszcza witraży.

Naprzeciw katedry znajduje się stara porysowana dzwonnica, zwana obecnie wieżą zegarową, której dołączony rysunek, mówi sam za siebie.

Z zabytków świeckich posiada ten stary gród książęcy basztę szlachecką, budowlę masywną, dostosowaną do swego przeznaczenia. Służyła niegdyś jako więzienie dla niesfornej braci szlacheckiej. Baszta, w założeniu będąc budowlą czworoboczną, w górnej swej części tworzy wieżę ośmioboczną która, wraz z narożnikami dolnej niższej części, nakrytej dwuspadowymi dachami, daje sylwetę budynku, tak charakterystyczną dla budownictwa polskiego.

Godnym jeszcze uwagi jest stary cmentarz katolicki, ze względu na swe grobowce.

Jeżeli ktoś kiedykolwiek będzie zwiedzał Płock, to radzę mu obejrzeć go najpierw do strony Wisły. Z pewnością nie będzie żałował.

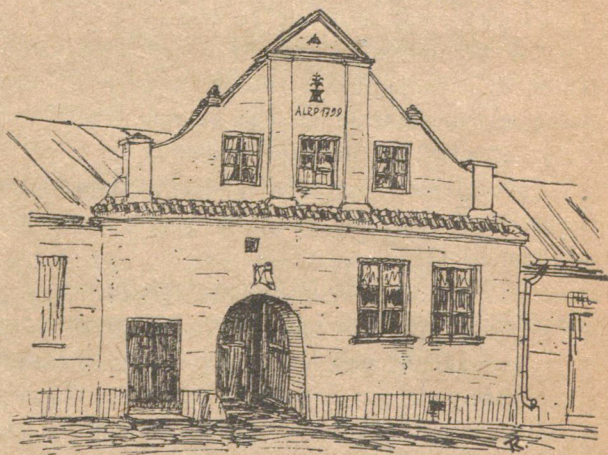
A teraz... przenosimy się przez Gostynin i Kutno do centrum pasiastych wełniaków, do Łowicza siedziby arcybiskupów gnieźnieńskich.

Już w okolicach Łowicza spostrzegamy znaczne innowacje, zarówno w stroju, jak i w budownictwie. Schludne chaty o słomianym czterosпадkowym dachu, wybielone zewnątrz, z okiennicami w kwiaty, przyjemne robią wrażenie, zwłaszcza w otoczeniu malw, maków i rozlicznego kwiecia.

Ta to zapewne różnorodność kolorów codziennego najbliższego otoczenia spowodowała u książaków umiłowanie barwności w ubraniu, szczególnie u kobiet.

Bajeczny widok, jak twierdzą znawcy, widzieć taką, o tęczy barwach, procesję, zwłaszcza w dzień Bożego Ciała.

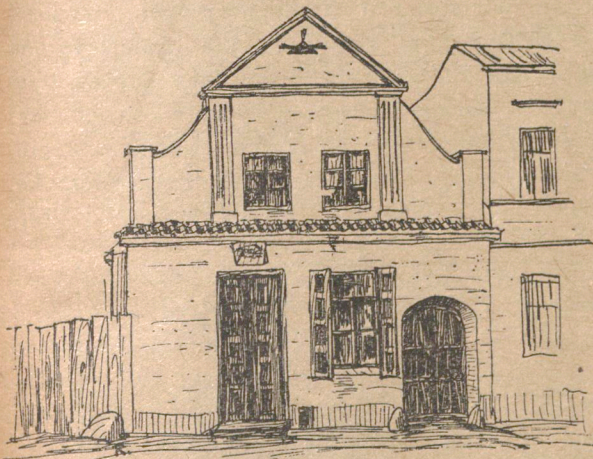
Niestety! Ominęła mnie ta przyjemność, a to



Łowicz. Dawny dom w Rynku.

z dwu względów: po pierwsze, przyjechałem w nieodpowiednim czasie; po drugie, w czasie mego pobytu w Łowiczu szlochało niebo, współczując mi, wylegującemu się na zwyczajnej twardej podłodze.

Wylegiwałem się, to prawda, ale nie bezczynnie. Zwerbowałem bowiem do siebie pewnego harcerza Ł. D. H. dowiedziałem się wielu cennych rzeczy, dotyczących się szczególnie pasiastych samodziółów.



Łowicz. Dawny dom w Rynku.

Z wielu zestawień kolorów w pasiakach wyróżnić należy barwy: „czarny”, „biały”, „złoty”, „jasny” (błękitny), „czerwony” i „wiśniowy” czyli

buraczkowo-brunatny, różowy, nazwany gdzieniegdzie „lysym”, jasno-różowy, zwany pięknie „leciuchnym”, „ciałowy”, zielony i „zieleńziwy” albo żółto-zielony.

Obecnie samodziały poczynają już zanikać, podobnie, jak u nas ubiory kurpiowskie, wybierane przez tańsze, tandetne materiały fabryczne.

I tak czapka maciejówka powoli usuwa czarny kapelusz, przybrany w czerwone wstążeczki, a zwyczajny płaszcz zastępuje kapotę ojców. Reforma, rozpoczęta od głowy, dosięgnie z czasem i szerokich, kolorowych spodni pasiastych i zamieni je na jednobarwne, tandetne.

Większy konserwatyzm posiadają, jak to zwykle bywa, kobiety. Nie wstydzą się one nosić swych pasiastych, często o „warjackich” kolorach, ale przeciwnie, nawet dumne są z tego.

Wielkie zasługi w podtrzymywaniu upadających strojów ludowych łoży Państwowe Seminarjum nauczycielskie męskie w Łowiczu, wprowadzając przymusowo do urzędowego munduru spodnie łowickie, krawat zwany krajką i kolorowy pasek do czapki. (D. c. n.)

Jan Łada (Łomża G. M. X. P. S.).

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W ŁOMŻY.

Zanim wypadnie nam mówić o Farze, tej, którą dziś widzimy, nietylko, że wypada, ale co więcej, należy bezwarunkowo streścić w krótkim chociażby ujęciu, ogólne wypadki poprzedzające budowę naszej Katedry. Początkowe zarysy (już w części historyczne) dziejów Łomży, odnoszą się bodaj do czasów wprowadzenia chrześcijaństwa w Polskę. Z tym wiekopomnym i doniosłej wagi faktem dla naszego narodu rozpoczęła się i nasza historyczna egzystencja, a z nią i pierwsze prawdziwe bądź co bądź dane o kraju, ludzie, wierze i postępie cywilizacji. Z chwilą tą, przyszły rzesze pionierów kościoła. Z ich rzędu był św. Wojciech, z ich grona, jak głosi podanie ludowe, miał pochodzić i Bruno von Querfurt, benedyktyn. Naogół postać ta i misja przypisywana jemu jest według nowszych badań, zupełnie bezpodstawną.

Ten to zakonnik, według wieści ludowej, miał około roku 1000, na polecenie Bolesława Chrobrego, założyć kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca, pod wsią Stara Łomża, oddaloną o niecałe pół mili od dzisiejszego miasta. Nie o innym to zapewne kościele głosi napis, jaki

można było do r. 1860 oglądać na tablicy, wiszącej za wielkim ołtarzem w dzisiejszej Katedrze. Brzmiał on w tekście łacińskim następująco:

„Ecclesia Lomzensis erecta in Stara Lomza circa annum 1000, crescente fide in Mazovia.”¹⁾

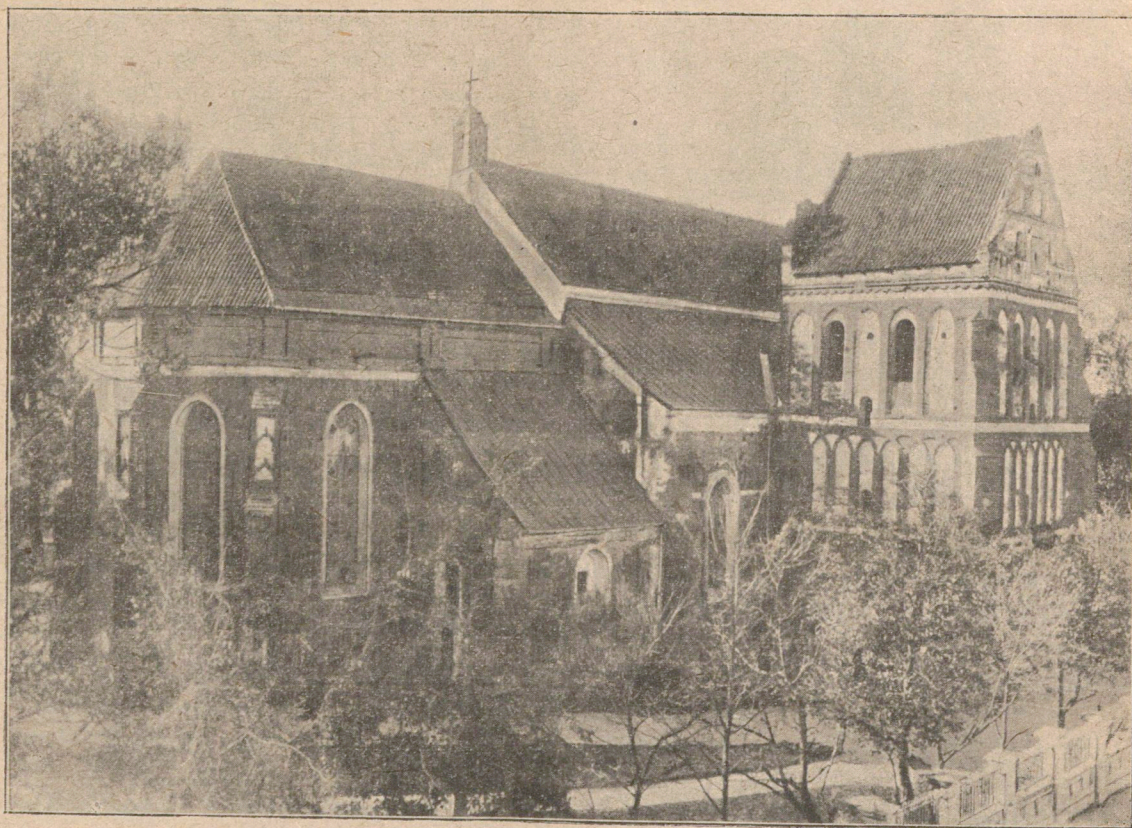
Pomimo, że o istnieniu, a zwłaszcza założeniu takowej świątyni zdaje się głosić jedynie baśń, no i wyżej przytoczony tekst łaciński, to jednak owo przypuszczenie ma na swą obronę wymowne, bo znaczne fakty, stwierdzające poniekąd jego słuszność. Jeszcze do dziś omszałe granity i cegiel rozbitych zwaliska, do niedawna widoczne w Starej Łomży zdają się świadczyć o minionem istnieniu tam kościoła. Niektórzy dowodzą (co łatwo jeszcze teraz sprawdzić), iż znać pozostałości fundamentów. Jednak bezsprzecznie, najbardziej oczywiście stwierdzeniem tych podań jest kapliczka z fig. św. Wawrzyńca, na miejscu byłej kaplicy (?) i z jej gruzów zbudowana.

A może to jest pozostałość pogańskiej gontyny, przerobionej na katolicką kaplicę w okresie przyjmowania się chrześcijaństwa w Polsce.

Nic, jak dotychczas, nie usiłuje przeczyć tej hipotezie, zaś wiele za nią przemawia. Pomimo

to, pomimo, że może rzecz się miała tak, czy inaczej, w każdym bądź razie jest to tylko podanie, i niezłomnej pewności nam, pod żadnym warunkiem dać nie może. Historyczna część dziejów kościoła parafialnego w Łomży datuje się od r. 1411. Wtedy to właśnie Jan, ks. Mazowiecki, po powrocie z wyprawy grunwaldzkiej na t. zw. Popowej górze (t. j. dzisiejszym miejscu zabudowań klasztoru O. O. Kapucynów) wystawił kościół murowany „Panny Marji i Rozesłańców”. W tym to przybytku równocześnie Jakób z Kurdwanowa, biskup płocki, ustalił parafję, uposażoną odpo-

wiednio i urządzoną. Kościół ten nie wytrzymał próby czasu i gdy po stuletnim żywocie — upadł zupełnie, dało to powód do rozpoczęcia nowej budowy. Sprawą tą zajęli się dwaj ówcześni książęta Mazowieccy — Janusz i Stanisław i za ich to inicjatywą i kosztem poczęto wznosić w r. 1520 kościół Farny, do dziś istniejący, pod wezwaniem św. Michała. Nie dane jednak było dokończyć im tej budowy, przypadła ona bowiem w udziale kanonikowi płockiemu i warszawskiemu, a ówczesnemu proboszczowi łomżyńskiemu, ks. Janowi, na Wielkim Wojsławiu — Woj-



Kościół katedralny w Łomży.

Fot. J. Cyroto.

stawskiemu. Konsekracji nowowzniesionej świątyni dokonał biskup płocki ks. Andrzej Noskowski, w r. 1526, za którego to sprawą właściwie dokończona została budowa kościoła, gdyż wspomniany już ks. Jan Wojślawski, z jego polecenia ją przejął. Obecna nasza Katedra powstała, według wszelkiego prawdopodobieństwa z rozbudowy kaplicy zamkowej ks. ks. Mazowieckich, sięgającej zapewne początkiem swoim pierwszych lat 15-go stulecia.

Tak twierdzi Rzecznowski w swej monografii: „Dawna i teraźniejsza Łomża”. Wnosi on to z napisu łacińskiego na tablicy erekcyjnej,

umieszczonej obok wielkiego ołtarza: „Duces Mazoviae Janusius et Anna, hanc (ecclesiam) erigere caeperunt penes capellam propriam a. 1410 (?) sed impediti bello Suecorum (?) per Joannem Wojślawski, plebanum Lomzenssem et Notarium generalem perfecerunt...”. Na tej podstawie, jak i z racji wielu innych względów powstaje również hipoteza, jakoby dzisiejsze presbiterium Katedry było ową zamkową kaplicą, a zarazem zawiązkiem naszej Katedry.

Słowem, forma taka świątyni, jaką dziś widzimy powstała przez domurowanie jedynie do byłego już kościoła trzech naw: głównej i bocz-

nych Przypuszczenie to potwierdza zarówno i ten fakt, iż sklepienie presbiterjum jest inne, pod względem architektury i techniki budowy. Prawdopodobnie jest ono starsze od reszty Katedry. Tak, w drobnych tylko, a zatem niezupełnych zarysach przedstawia się naogół historia powstania świątyni, do czasu jej zupełnego ukończenia. Lecz zwróćmy uwagę teraz na jej styl i architekturę.

Pierwotnie dzisiejsza katedra przedstawiała się jako czysty i piękny gotyk, lecz późniejsze restauracje i przeróbki częściowo zaćmiły go.

Aby zdać sobie dokładnie sprawę ze stylu kościoła trzeba przypomnieć sobie, iż przeciętnie spotykamy się na ziemiach polskich z dwoma systemami budownictwa kościołów t. zw. bazylikowym i hallowym. Odróżnić je łatwo. Kościół nazywamy bazyliką, gdy nawy boczne są prawie 2 razy niższe, niż główna, tak, że okna nawy głównej znajdują się ponad dachami naw bocznych, odbiera więc ona (t. j. nawa główna) światło bezpośrednio przez swoje okna (podobnie, jak w kościele Ewangelickim w Łomży). No i odwrotnie, gdy nawy boczne są bez mała tak wysokie, jak główna — kościół zwiemy wówczas hallowym. Katedra nasza, według pierwszego planu miała być utrzymana w stylu bazylikowym, lecz podczas budowy została zmienioną na typ hallowy. Długość jej wynosi 33. 92 m. szerokość 26. m. wysokość sięga 17 m. (nawy boczne 13 m.). Według wszelkich prawdopodobieństw — zachodnie przeszło nawy głównej i połudn. bocznej należy

odnieść do owej pierwotnie projektowanej „bazyliki niedokończonej”.

Choćby z tego względu należy tak sądzić, iż wysokość sklepienia środkowego wynosi tutaj (właśnie w przytoczonej zachodniej kondygnacji nawy głównej) — 19. 5 m., gdy bocznej zaledwie ponad 9 m. Z tego wynika, że w czasie budowy znizono zatem wysokość nawy głównej przeszło o 2 m. natomiast podniesiono sklepienie naw bocznych o 8 m. Jak zmiany te komentować należy — niewiadomo, zarówno jak niewiadomo, czemu je przypisać. Nowa dawna wysokość nawy sięgała do białego otynkowanego szlaku biegnącego ponad szeregami wnek (niż płytach) półkolisto zakończonych, które dają się spostrzec od pierwszego rzutu oka.

To, co szczególnie uderza nas w wyglądzie wewnętrznym Katedry — to styl jej sklepień. Obie nawy boczne, wraz z kapł. Matki Boskiej posiadają przepiękne i bardzo ciekawe w układzie „kryształowe” sklepienia, których tu użyto miast początkowo planowanych, zwykłych „żebrowanych gwiazdzystych”, jakich wzór mamy po części w presbiterjum i nawie głównej. Taka była pierwotna budowa i architektura świątyni, lecz wiele się w niej zmieniło do obecnych czasów, choćby z zewnątrz i frontu, zwłaszcza przez liczne katastrofy i restauracje, następujące po tychże wypadkach. O tem jednak wspominać będziemy w dalszym ciągu tej krótkiej monografii.

(D. c. n.).

1) Rzecznowski: „Dawna i teraźniejsza Łomża”. r. wyd. 1861.

Piotr Zieliński (Łomża G. T. K.)

7-mio klasowa Szkoła Handlowa męska w Łomży.

1906 — 1917.

(Według pracy A. Drewnowskiego b. nauczyciela Szkoły Handlowej w Łomży).

(Dalszy ciąg).

Drugi rok istnienia szkoły (1907—8) był dalszym ciągiem rozwijającego się pomyślnie studjum organizacyjnego. Ilość uczniów wzrosła do 359. Otwarto klasę siódmą i równoległą trzecią. Uczniowie, według statystyki, uczyli się dobrze, lepiej niż w roku poprzednim, do powtarzania kursu bowiem, zmuszono tylko 39 uczniów (11%). Grono nauczycielskie powiększyło się przez przybycie pp. Brońskiego i Brunona Nowickiego.

Rada Pedagogiczna w trosce o dalsze kształcenie swych absolwentów rozpoczęła kroki celem uzyskania dla nich prawa wstępu na wyższe uczelnie

— zagranicą. Najbardziej chodziło o uniwersytety galicyjskie i politechnikę lwowską, sprawa jednak przybrała obrót zły, uniwersytety owe bowiem, zgodnie z ustawą — po porozumieniu się z Wiedniem — nie chciały przyjmować w poczet słuchaczy zwyczajnych wychowanków szkół siedmioklasowych. Politechnika lwowska odmawiała także — do czasu zresztą — ze względu na różnice programowe (geometria wykresna, analityczna i rysunki) później jednak wyrównane. Politechniki francuskie natomiast nie postawiły sprzeciwu. Z uniwersytetów nawiązał ściśle stosunki uniwer-

sytyet szwajcarski we Fryburgu, z którym zawarto szczegółową umowę w roku następnym (1908—9), o czym będzie mowa poniżej.

Prócz powyższych szkoła rozpoczęła zabiegi około nawiązania ścisłego kontaktu z rodzicami uczniów. Odbłyły się tylko dwie konferencje, gdyż na każdą z nich przybywało zaledwie kilka osób, wobec czego poważniejszych rezultatów nie osiągnięto. Mimo to omówiono wspólnie regulamin dla utrzymujących stancje, przedłożony przez szkołę, przyczem, ze strony rodziców, wyrażono życzenie wzmocnienia nadzoru nad uczniami, aczkolwiek te były dotychczas systematycznie wizytowane przez wychowawców.

Co do stanu finansowego, to same wpisy dały deficyt 5135 rb. 15 kop., ofiary zato wyniosły więcej niż niedobór, ogółem 5958 rb. 10 kop.

Remanent na rok następny wzrósł nieco, dając pokązną kwotę 7321 rb. 18 kop., na ogólną sumę budżetu 28080 rubli. Jako ofiarniejsze jednostki w tym roku, okazali się pp.: Andlauerowie, Augustynowicz, Jezierski, Skłodowski i Wierzbicka. Kasa przemysłowców złożyła na cele szkoły 3 tys. rubli. Inwentarz szkolny powiększono na sumę 876 rb. 35 kop., przyczem na książki, mapy, tablice botaniczne i przyrządy fizyko-chemiczne wydatkowano połowę tej sumy. W czasie wakacyj tegoż roku szkoła przeniosła się do gmachu p. Kozłowskiego przy ul. Dwornej (obecnie własność Banku dla Handlu i Przemysłu w Warszawie), licząc się głównie z istnieniem tu placu do zabaw i gimnastyki.

W nowym już gmachu szkoła rozpoczęła po myślnie trzeci rok swego istnienia (1908-9). Z grona wykładowych ubył w tym czasie nauczyciel matematyki Bańkiewicz, przybył Oszubski. Liczba uczniów doszła do 356; z pomiędzy nich pozostawiono na rok drugi dwudziestu trzech czyli procent stosunkowo mały (7,5%).

W dniu 16 listopada tegoż roku, zawarto wyżej wzmiankowaną umowę między dyrektorem wychowania publicznego w kantonie fryburskim (Szwajcaria) a zarządem szkoły. Na mocy tej umowy absolwenci Szkoły Handlowej uzyskali prawo wstępu na uniwersytet we Fryburgu, w charakterze słuchaczy zwyczajnych na wydział literacki i na sekcję handlową wydziału prawnego, po złożeniu zaś egzaminu dodatkowego z łaciny — na pozostałe wydziały.

Rok ten zaznaczył się w życiu szkoły wstrząsem, wywołanym próbą poderwania jej opinii w oczach władz rządowych, przez wrogie żywioły

miejscowe — gubernatora i dyrektorów gimnazjów rządowych: żeńskiego i męskiego.

W dniu 10 września przysłano dyrektorowi z kancelarii gubernatora łomżyńskiego kopję „protokołu narady nad wypracowaniem, łącznie z władzą naukową, ogólnego planu akcji, zmierzającej ku rozwojowi i urzeczywistnieniu wszystkich warunków pozaszkolnego nadzoru nad uczącą się młodzieżą szkół średnich w mieście Łomży, w celu przywrócenia i podtrzymania moralności w środowisku uczącej się młodzieży.”

Przewodniczącym owej narady był p. o gubernatora łomżyńskiego Rozenszyld-Pauln, faktycznymi kierownikami zaś: Silin — dyrektor męskiego i Gorzkiewicz — żeńskiego gimnazjum.

Po stwierdzeniu, że okres ruchu rewolucyjnego — mimo surowych a stanowczych zarządzeń władz szkolnych — nie skończył się jeszcze, uczestnicy narady powzięli uchwały, które miały odtąd normować pozaszkolne życie młodzieży, i z których dopiero ukazuje się prawdziwe oblicze urzędowych wychowawców. Prócz słusznych skądinąd postanowień, opierających się jednak na stałe na pomocy policyjnej, uchwalono: „1) aby tajna policja nadzorowała stancje i utrzymujących je — z punktu widzenia politycznego; — 2) aby tajna policja, według możliwości, komunikowała zarządowi szkolnemu o uczniach podejrzanych politycznie, w tym tylko zresztą wypadku, o ile sama nie będzie miała dostatecznych powodów do pociągnięcia ich do odpowiedzialności — drogą ogólnie ustanowionych przepisów porządku prawnego”.

W końcu wyrażono pragnienie przedsięwzięcia odpowiednich środków, aby wyłożone wyżej prawidła i drogi działania były zastosowane także i do uczącej się młodzieży prywatnych szkół handlowych w Łomży — „ponieważ wychowawcy rzeczonych zakładów naukowych, znajdując się po za wszelką kontrolą ze strony swej władzy szkolnej i niewłaściwym swem zachowaniem dają zły przykład uczniom średnich, rządowych zakładów naukowych w mieście Łomży”.

Kopie tego protokołu, tak dbałego o dobro młodzieży, wystawiającej świadectwo opiece polskich władz szkolnych, przesłane zostały do Warszawy — kuratorowi oraz do Petersburga — ministerjom oświaty i handlu.

Po upływie pewnego przeciągu czasu dyrektor Alichniewicz otrzymał pismo od inspektora szkół handlowych z Warszawy z zapytaniem, czy był on wezwany i obecny na owej naradzie. To rozsądne i taktowne postawienie kwestji przez

inspektora sprawiło, że sprawa przybrała inny zgoła obrót, niż tego sobie życzyli jej inspiratorzy. Przycząca odpowiedź dyrektora wyświetliła te zakulisowe i niegodne zamiary, które jednak — w innych warunkach zaszkodziłyby wielce szkole — jej kierownikom i uczniom.

Odnosnie do budżetu zaznaczyć należy, że ogólna suma wpisów wyniosła 21455 rb. 75 k.,

podczas gdy wydatki doszły do 27076 rb. Ponieważ suma ofiar — 4939 rb. 25 k. — zmniejszyła się o tysiąc rubli prawie, remanent spadł także o 446 rb. 86 k. do kwoty 6874 rb. 32 k.

Tak przedstawiały się w zarysie dzieje Szkoły Handlowej w pierwszym okresie jej istnienia.

(D. c. n.).

K A C I K K O B I E C Y.

I. *Surynówna (Łomża G. Ż. M. K.).*

Pielęgniarstwo i jego rola w dobie współczesnej.

Wielkie wypadki dziejowe, gdy życie całych narodów w błyskawicznym tempie postępuje w swym rozwoju, dokonywują tych przeogromnych zmian, na które całych wieków byłoby zamało w zwykłych warunkach. Wszelkie, niespostrzegane, aż dotąd braki w ustroju dotychczasowym życia wychodzą na jaw. Do takich wyjątkowych chwil należy wojna wszechświatowa. Wśród wielu innych braków okazało się, że społeczeństwo polskie nie posiada w dostatecznej mierze tych czynników, któreby podtrzymywały stan zdrowotny jego obywateli w czasie pokoju, a w czasie wojny dawały skuteczną i możliwie najlepszą pomoc sanitarną. Społeczeństwo nie wiedziało właściwie, co to jest pielęgniarstwo i kształcone ogólnie i fachowo pielęgniarki. Niewola i zupełna zależność od trzech zaborczych państw w zupełności tłumaczy tę nieświadomość. Austria i Prusy już posiadały w tych czasach szkoły pielęgniarek, Rosja — nie. Naogół biorąc główną pomoc dawały wolontariuszki, których — w najlepszym wypadku — całe wiadomości z medycyny ograniczały się do tych, jakie mógł dać kilkutygodniowy kurs sanitarny. Specjalnie dał się we znaki ten brak fachowych sił podczas wojny z bolszewikami w 20 r. Tu już musiała Polska opierać się tylko na własnych siłach. A nie miała nawet tych „obszczin”, co Rosja, dla swych sióstr miłosierdzia. Wielka śmiertelność wskutek epidemij i niedostatecznej opieki sanitarnej, wskazywała na niezbędne zmiany w tej dziedzinie. I rzeczywiście jednostki nieposiadające fachowej wiedzy, stawały bezradne nad lożem chorego, pozostawionego ich odpowiedzialności.

Po wojnie tej, w r. 21, na jesieni, dzięki staraniom Polskiego Czerwonego Krzyża, Magistratu miasta stołecznego Warszawy, Ministerstwa

pracy i opieki społecznej w porozumieniu i z pomocą materialną Czerwonego Krzyża Amerykańskiego została założona dwuletnia Szkoła Pielęgniarska w Warszawie i współcześnie w Poznaniu. W chwili obecnej tych szkół mamy więcej. Prócz dwóch wymienionych są w Warszawie: taka sama dla szarytek i żydowska szkoła pielęgniarstwa. Obok nich posiada taką szkołę Kraków.

Zasadniczo praca pielęgniarki obejmuje dwie różne dziedziny t. j. pracę szpitalną i społeczną.

W szpitalach chorzy faktycznie pozostają w zupełności pod opieką pielęgniarki. Lekarz, po obejrzeniu chorego, opuszcza szpital i tylko w nadzwyczajnych wypadkach powraca tam o niezwykłej porze. Całe czuwanie nad stanem zdrowia chorego jest powierzone pielęgniarce. Na jej obserwacjach jest oparta diagnoza lekarska. Chodzi o to, by opieka, pod którą (niemal wyłącznie) pozostaje chory była inteligentną.

Stosunek społeczeństwa do szkoły pielęgniarstwa i jej uczennic wskazał, że właściwego zadania pielęgniarki większość nie pojęła. Nawet stosunek lekarzy do pielęgniarek pozostawiał wiele do życzenia. Może najprędzej przekonali się do nich sami chorzy. Często zdarzały się wypadki, że pielęgniarki proponowano 30 fenigów za przygotowanie kąpeli. Najbardziej zastanawiało ludzi nawet inteligentnych, po co jest wymagane od pielęgniarki wykształcenie conajmniej sześcioklasowe? Przypuszczano, a nawet nieraz twierdzono stanowczo, że są to tylko pozory zachowywane przez szkołę, i że pielęgniarki są przyjmowane bez wykształcenia. Drobne wypadki życia codziennego dopomogły przekonać jednostki, a za pomocą nich częściowo i społeczeństwo, że tak nie jest.

Tak np. w szpitalu już objętym przez pielęgniarki, w izolowanym pokoju leżał inteligentny chory, o znanym w Europie nazwisku. Przy

chorym siedzi jego żona i prowadząc w języku francuskim rozmowę, twierdzi, że niemożliwym jest, by osoba inteligentna podjęła się pielęgniarstwa, że bajką jest, jakoby one posiadały pewne wykształcenie.

Z tych słów poznała tam obecna pielęgniarka w jaki sposób ludzie, korzystający z całej jej wiedzy, oceniają jej pracę. Gdy cierpliwość jej została wyczerpana, odezwała się w tym samym języku, stając w obronie własnej i swego zawodu. W kilka chwil później, gdy do pokoju weszła przełożona szkoły pielęgniarek, pytając po angielsku o sprawy dotyczące szpitala, państwo X zostali ostatecznie przekonani, że conajmniej niektóre pielęgniarki, obok wykształcenia fachowego posiadają i ogólne. Lecz to były drobnostki w porównaniu z tą niechęcią, jaką musiały przezwyciężać, a z którą spotykały się nawet u lekarzy traktujących je na równi ze służbą.

Lecz to miejsce wśród społeczeństwa jakie się jej należało, potrafiła pielęgniarka sobie wywalczyć, zyskując swą pracą należne uznanie.

Drugą i nową dziedziną pracy pielęgniarek jest praca społeczna, na „stacjach opieki nad matką i dzieckiem” i w „przychodniach przeciwgruźliczych”.

Tu już zadaniem pielęgniarki jest nie tylko niesienie pomocy chorym, lecz i zapobieganie wszelkim chorobom.

Ma ona dbać, by pokolenie nowe, rosnące w ciężkich warunkach materialnych było możliwe jaknajzdrowsze.

Jej działalność ogranicza po większej części ubóstwo stacji, która nie jest dostatecznie zaopatrzona przez obojętne społeczeństwo.

I tu nieraz idąc na swe wywiady spotyka się z wrogiem przyjęciem, lub całym potokiem najbardziej obelżywych wyrazów.

Nędza, płynąca z panującego bezrobocia, budzi w ludziach nieszczęśliwych nienawiść do tych, dla których los jest łaskawszym.

Pielęgniarka, badając warunki mieszkaniowe, materialne i zdrowotne przekonywuje się, że w pokoju, w którym normalnie może mieszkać od 4-5 osób, gnieździ się — 18, z których tylko 6 osób jest dorosłych, reszta dzieci. Że na jednym żelaznym piecyku gotują się i jakieś nędzne pożywienie i brudna bielizna, której opary wdychają dzieci obciążone dziedziczną gruźlicą.

Okna są szczelnie na całą zimę zamknięte, więc świeże powietrze do pokoju zamieszkałego przez 18 osób nie przenika zupełnie.

Przed takim obrazem strasznej nędzy staje pielęgniarka. W jej mocy, jak dotychczas, jest tylko dostarczyć mleka dzieciom zdrowym, chorych na gruźlicę ulokować w sanatorium, względnie w dziennych przychodniach, przeciwgruźliczych i dać pewne wskazówki matce, co do pielęgnowania dzieci najmłodszych.

Rozszerzenie tego zakresu działalności dotąd tak bardzo szczupłego, zależy od społeczeństwa.

W y c h o w a n i e f i z y c z n e.

W. Maliszewski (Ostrołęka G. M. St. L.)

Od zwycięstw do upadku. (Z Kółka sportowego w Ostrołęce).

Zapewne wszyscy doskonale pamiętamy o zdjęciu, które było zamieszczone w poprzednim numerze naszego pisma, a mianowicie o fotografii drużyny piłki nożnej gimnazjum państwowego w Ostrołęce. Zdjęcie to, być może, wskutek przyczyn od nas zupełnie niezależnych, trochę jest zatuszowane i niewyraźne, jednak każdy z nas (graczy) mógł ostatecznie poznać siebie, lub przynajmniej domyśleć się.

Prawda, drużyna naogół przedstawia się nieźle, a to dzięki dobremu i pełnemu wyekwipowaniu, a także i wyglądowi samych graczy.

Lecz zdaje się, że zapoznanie się tylko z „sympatycznymi buziakami” Ostrołęczaków nie powinno się ograniczyć do fotografii. Wartość człowieka, czy jakiegokolwiek organizacji, mierzymy nie według powierzchowności, lecz według czynów.

Działalność więc naszej drużyny mam zamiar pokrótce w tym artykule przedstawić.

Mija właśnie trzeci rok od chwili, w której zrodziła się w umysłach naszych i pana profesora gimnastyki myśl stworzenia jakiej organizacji sportowej, któraby zogniskowała wszystkie najzdolniejsze i chętne jednostki, w celu wspólnego doskonalenia się fizycznego. Wybraliśmy najpopularniejszą wówczas piłkę nożną. Materiału odpowiednio wyszkolonego był brak zupełny. Nie mieliśmy najelementarniejszego pojęcia o technice

i zasadach, lecz zapał wystarczył za wszystko. Z początkowej bezskutecznej kopaniny w ziemię, lub Panu Bogu w okno, po półrocznej grze, mogliśmy się już pochwalić golami, udającymi się niekiedy wprost imponująco, ponieważ zdobywane bywały przez samego bramkarza.

Pierwsze nasze występy na boisku ograniczały się tylko do rozgrywek międzyklasowych. Lecz w sąsiedztwie bardzo bliskim, w Wojciechowicach, istniała drużyna 5-go pułku ułanów, mistrz brygady, ze swym nieśmiertelnym bramkarzem Szczerbą. I oto pewnej pięknej niedzieli przy dźwiękach orkiestry tychże ułanów (działo się to w parku ostrołęckim podczas jakiegoś festynu) powstała w rozmarzonych, naszych umysłach szalona myśl, myśl romantyczna, lecz dla rozwoju naszej drużyny błogosławiona. Oto wyzwaliliśmy ułanów, tych samych, którzy dotąd swem powodzeniem wzbudzali w nas jakąś zabobonną trwogę i poszanowanie. Zdumiała się Ostrołęka na takie zuchwalstwo z naszej strony. Przez cały tydzień byliśmy, my-gracze, jak odurzeni, a u młodych obywateli uchodziliśmy conajmniej za bohaterów, jeżeli nie za ofiary. Wrócono nam przynajmniej dziesięć bramek, sami spodziewaliśmy się coś około sześciu.

Lecz wszelkie przewidywania okazały się płonnymi.

Pomimo tremy okazaliśmy się przeciwnikiem, jeżeli nie równym, to nawet wyższym od ułanów, gdyż wynik 0:0 świadczył o naszej przewadze, bramkarz nasz stał o całe niebo wyżej pod względem techniki od osławionego Szczerby. Rozmachałem się o tym matchu, gdyż po pierwsze był on pierwszym, a po drugie rozstrzygnął o istnieniu naszej drużyny, przeto w dziejach jej zapisał się niezatartymi zgłoskami.

Rozzuchwaleni powodzeniem zaprosiliśmy Łomżę, a właściwie spółkę Łomża - Warszawa, gdyż jak się później okazało w skład tej drużyny wchodziło trzech graczy z Warszawy. Wynik z tą drużyną 2:0 na korzyść Łomży wcale nas nie zniechęcił, owszem dodał nam bodźca do intensywnej pracy. I oto z „Ostrowianką” wychodzimy z zaszczytnym wynikiem 2:0 na naszą korzyść i to z przyniatającą przewagą po naszej stronie.

Od tej chwili suniemy siedmiomilowymi krokami naprzód. Biedny, sympatyczny „Bug” z Wyszkowa dostaje na naszym boisku 4:0 pomimo największych wysiłków, ładnej i ambitnej gry. W tym sezonie tylko jeden Pułtusk mógł

się poszczycić nad nami zwycięstwem 2:0, lecz była to drużyna stara o wyrobionej sławie w walkach z drużynami stołecznymi. Nie była więc to dla nas porażka hańbiąca, lecz może nawet zaszczytna.

Lecz fortuna kołem się toczy. Nie sądźcie nas kochani współczytelnicy, żebyśmy należeli do kategorii ludzi mściwych, lub pysznych, nie, lecz tak z sympatji ku naszym pogromcom ogarnęła nas chęć ponownego z nimi zmierzenia się.

A więc umizgamy się do pierwszego naszego zwycięzcy.

Łomża gości drugi raz w Ostrołęce. Lecz oto udaje się nam tym razem, ku wielkiemu zadowoleniu naszemu i publiczności. Aha, publiczność, otóż mamy i ją kochaną.

Dochodzą nas echa z narzekaniami na brak zainteresowania się ruchem sportowym ze strony starszego społeczeństwa, na brak jakiegokolwiek poparcia materialnego, a nawet i moralnego. Boć chyba nie nazwiemy poparciem moralnym, jakąś ospałą bierność, lub, co gorzej jeszcze, ignorancję i szykany ze strony osób zazwyczaj nie mających pojęcia o idei sportu, ale natomiast mających możność szkodenia mu.

Dałoby się dużo o tem powiedzieć, lecz zbyt byłoby nie na temat, a da to się skutecznie w innym artykule.

Lecz z naszą ostrołęcką publicznością, tak zupełnie źle nie jest. Ma się rozumieć początkowo sprawa uświadamiania i zjednywania ogółu szła dosyć opornie, lecz po kilku próbach zdobyliśmy sobie dosyć liczne grono stałych sympatyków i bywalców matchowych. Na tych, a właściwie na ich niezawodne kieski zwykle rachujemy. Jest to cały nasz zakładowy kapitał i poręka przy zapraszaniu drużyn.

Więc z Łomżą skwitowaliśmy się po chrześcijańsku. Spłaciliśmy swój dług, bez żadnych lichwiarskich procentów (2:0).

Nie przesadza to sprawy, żebyśmy powiedzieli sobie, pa! Owszem żywimy błogą nadzieję, że w nadchodzącym sezonie, przy obustronnych, szczerych chęciach, prosuo et publico bono, nawiążemy stosunki bliższe i owocniejsze dla życia sportowego naszej ziemi.

W tydzień po Łomży, na ciężarowym samochodzie zwałił Pułtusk do nas. Przypominam, że to drugi nasz pogromca.

Pomimo tego, że Pułtuscianie przywieźli z sobą dwie urocze nimfy, które rozbrajały nas swą rozpaczą, a swym kolegom dodawały mocy

I wzrokiem i ruchami i głosem, pech widocznie biednych prześladował, albowiem pod ciężarem siedmiu goli stęknął glucho ciężarowy samochód i nie mógł ruszyć z miejsca (może utknął w piasku przedgimnazjalnym, lub może zakochał się, w której z ostrołęckich autodorożek) dosyć, że trzeba było, użyć środków podniecających i przynaglających zanim ruszył, pożegnawszy Ostrołękę tęsknieniami porykiwaniami trójdźwięcznego sygnału.

Cóż było dalej robić? Urosły nam skrzydła, trzeba więc było wylecieć na szersze widnokręgi. I skutkiem tego match z b-klasową drużyną warszawską „Jutrzenką”, która opromieniła nas nową aureolą zwycięstwa 2:1.

Druga drużyna stołeczna „Legja II” bije nas 2:1, lecz wcale niezasłużenie, gdyż wystąpiliśmy z konieczności do walki w osłabionym składzie. Lecz tu koniec naszej chwały i zwycięstw a początek upadku. Matura zabiera nam sześciu, graczy. Pozostaje szkielet. Na tym szkielecie budujemy nową drużynę. Lecz to, co w nas było siłą t. j. zgranie, wzajemne poznanie się przez dwa lata wspólnych wysiłków (nadmienić tu muszę, że skład drużyny od jej założenia prawie nie uległ zmianie) zostaje zniszczone przynajmniej na dłuższy okres czasu. Pozbawieni tego twórczego, pierwiastka ulegamy 2:1 nie bez zaciętej walki a nawet z przewagą naszych pojedynczych, graczy, zwyciężonej poprzednio przez nas „Ostrowiance”.

Lecz mając za sobą już tyle nabytego doświadczenia, mamy nadzieję, że powrót do dawnej formy, powtórzenie złotego wieku drużyny, nastąpi z nadchodzącym sezonem, aby zadokumentować, że dzieło raz dobrze poczęte i prowadzone nie powinno ginąć, mając dobrych ideowych przewodników.

KOŁO SPORTOWE przy gimnazjum męskim im. ks. P. Skargi.

W listopadzie 1925 r. powstało na terenie gimn. „Uczniowskie Koło Sportowe”. Związek liczy około 50 członków.

Z racji żywszego zainteresowania się sfer uczniowskich, uprawiających sport z zapałem, wyniki początkowych prac w łonie stowarzyszenia nie dały długo na siebie czekać.

Dochód otrzymany z urządzonej na ten cel zabawy w karnawale pozwolił na zakupienie narzędzi i przyborów sportowych, z których nabyciem rozpoczął się wytrwały trening, niestety, przer-

wany obecnie przeciągającą się zimą. Stowarzyszeni podzieleni są na 3 sekcje: piłki nożnej, lekkoatletyki i kolarstwa. Pierwsza sekcja łamie się przytem na 3 zespoły: reprezentacyjny i dwa ćwiczebne.

W dorobku realnym na naszym terenie, jeszcze z owych chwil, kiedyśmy nie mieli dzisiejszego „Koła” zasługują na uwagę: 4 match'e, w których osiągnęliśmy następujące wyniki: I-szy z Gimn. T. Kościuszki w Łomży 0:1 (0:0) na naszą niekorzyść. II-gi ze „Strzelcem” 1:1 (1:0), III-ci w Kolnie 3:0 (2:0) i IV-ty w Ostrołęce 0:2 (0:2) na naszą niekorzyść.

Gdy jednak w tym ostatnim wypadku zwazymy siłę ostrołęckiej drużyny, to właściwe wyniki dla nas nie były zupełnie złe. Co przyniesie sezon roku bieżącego — czas pokaże.

Obecnie jest już prawie skonkretyzowana organizacja biegu kolarskiego do Puszczy Białowieskiej pod kierownictwem pana profesora Wł. Jemielitego, który jest również odpowiedzialnym kierownikiem naszego „Koła”.

S. Żochowski. (Łomża. G. T. K.).

Hufiec P. W. № 1 przy Gimnazjum Męskim im. T. K. w Łomży.

W b. roku szkolnym, z powodu oczekiwanych zmian zasadniczych w organizacji przysposobienia wojskowego, Hufiec 1-szy G. T. K. rozpoczął swe prace z dość znacznym opóźnieniem, w pierwszych dniach października. Na skutek uchwały Rady Ministrów z dn. 16. X wprowadzony obowiązek służenia w oddziałach P. W. młodzieży szkolnej spowodował badanie lekarskie i wciągnięcie na listy P. W. zdolnych do noszenia broni. 8-ma klasa została wyjątkowo zwolniona.

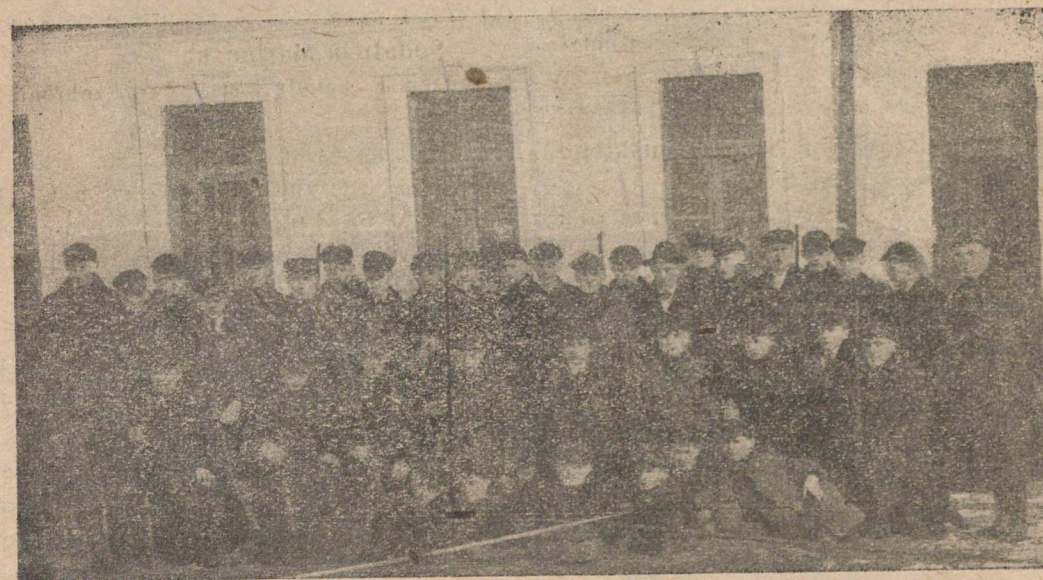
Wczesne słoty przeszkodziły uroczystemu rozpoczęciu prac w Hufcu, nabożeństwem i defiladą. Natomiast urządzona została staraniem Hufca 1-go głównie, „Akademia P. W.” mająca na celu zaznajomienie społeczeństwa łomżyńskiego z zagadnieniem P. W.

Prace w Hufcu 1-szym były prowadzone systematycznie na zbiórkach, raz na tydzień, w sobotę mających miejsce. Pierwsza zbiórka miała charakter wstępnych ćwiczeń z bronią. Następne zaś w liczbie 12 odbywały się w gmachu Gimnazjum i Hufiec podzielony na trzy plutony w poszczególnych salach słuchał wykładów: o służbie polowej, wartowniczej, o organizacji armji, o patrolowaniu,

rozpoznawaniu szarż, walce gazowej, o granatach, broni ręcznej i o lekkich karabinach maszynowych Maxima i Chochard'a. Wykłady są popierane zajęciami praktycznymi, np.: rozbieraniem i składaniem karabinów, zaznajamianiem z wonią gazów bojowych i zakładaniem masek.

Wszystkie niemal przedmioty wojskowe wyklada por. Dąbrowski wraz z dwoma podoficerami, zagadnienia wojny gazowej objaśnia por. Bargielski.

Ważną rzeczą jest oddzielenie organizacji P. W. od poszczególnych P. K. U. i stworzenie



Hufiec P. W. № 1 przy Gimn. Męsk. im. T. Kościuszki w Łomży.

W środku grupy stoją p. p.: por. E. Dąbrowski, prof. W. Dzwonkowski i prof. St. Dworski.

odpowiednich referatów przy pułkach. Referat pułkowy z trzech oficerów będzie mógł intensywniej pracować, niż dotychczas jeden oficer instrukcyjny.

Nadchodząca wiosna, dając rękojmę zamiany sali wykładowej na otwarte pole i przystąpienia do najważniejszej części wyszkolenia tej szkoły strzelca, zmusiła do podjęcia ćwiczeń wstępnych.

Na dwóch ostatnich zbiórkach szeregowcy ćwiczący pierwszy rok w Hufcu przerabiali t. zw. trójkąt błędów, pomocny przy strzelaniu.

Gdy tylko warunki atmosferyczne pozwolą, por. Dąbrowski przystąpi z Hufcem do strzelania na odległości skrócone.

K O M U N I K A T Y.

W dniu 26-III b. r. na zjeździe Kierowników Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w Łomży, Komitet organizacyjny uchwalił połączyć „Dzień święta Sportowego młodzieży” ze „Świętem przysposobienia wojskowego”, jako DZIEŃ ŚWIĘTA SPORTOWEGO I PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH MĘSKICH I ŻEŃSKICH mający się odbyć w następujące dni:

W Pieńkach-Borowych w Jedwabnem — dnia 2 maja; W Kolnie — dnia 9 maja; W Zambrowie dnia 13 maja; W Ostrołęce dnia 16 maja; W Łomży (dwa dni) 29 i 30 maja.

(Program zawodów mających się odbyć w Łomży podamy w następnym numerze).

Redakcja Orlego Lotu prosi o współpracę wszystkich młodych krajoznawców i wszystkie Koła i Kółka, które w programie swoim mają pracę krajoznawczą (geograficzne, przyrodnicze, etnograficzne, literackie i t. p.)

Chętnie oddaje Redakcja numery O. L. do wypełnienia poszczególnym grupom krajoznawców — za najlepsze opracowanie wyznacza w tym roku duże nagrody: 150 zł. i 100 zł.

Adres: Kraków ulica Krowoderska 74-II
Leopold Węgrzynowicz.

K r o n i k a.

ŁOMŻA. Gimnazjum męskie im. T. Kościuszki. „Ognisko”. W bieżącym półroczu „Ognisko” — samorząd szkolny uczniów G. T. K. wybrało nowy zarząd, w skład którego weszli koledzy: Zieliński Piotr (7 a) — prezes, Kulesza Stanisław (7 b) — wiceprezes i Kosko Kazimierz (7 a) — sekretarz. Nowy zarząd został zatwierdzony przez Opiekuna „Ogniska”, p. prof. A. Skińskiego.

Koło humanistów im. St. Żeromskiego. Zebranie „Koła” w dniu 28 lutego r. b. poświęcone było referatowi kol. Żochowskiego (7b) p. t. „Byron, życie i dzieła”. W ożywionej dyskusji biorą udział koledzy: Gorzoch, Kurcusz, Sokorski. Na zakończenie kol. prelegent zadeklamował dwa sonety Byrona i wygłosił ustęp z „Don Juana”.

Dnia 10 marca b. r. kol. Dobkowski (7 a) wygłosił referat p.t. „Zagadnienia społeczne i filozoficzne w Emancypantkach Prusa”. W rozwiniętej następnie dyskusji brali udział kol. Sokorski, Gorzoch, zajmując się kwestją, dziwnie często będącą przedmiotem sporów w naszym gimnazjum, mianowicie: czy cierpienie upadła czy uszlachetnia duszę człowieka.

W dniu 14 marca kol. Sokorski (8 b) rozpoczął serję referatów psychologicznych, odczytem p.t. „Rozwój mowy ludzkiej” opierając swoje wywody na ciągłej ewolucji człowieka, co wywołało bardzo ożywioną dyskusję. Następnie na wniosek kol. Zielińskiego, postanowiono, na lepsze referaty zapraszać młodzież z innych gimnazjów, by w ten sposób zapoczątkować zbliżenie się umysłowe różnych szkół.

Dnia 21 marca b. r. kol. Gerwin (8 b), kontynuując w dalszym ciągu odczyty psychologiczne, wygłosił pierwszą część swego referatu „Psychologia tłumu”. W dyskusji zabierali głos, poza członkami Koła, kol. Sokorskim i kol. Dygnarowiczem, także goście: p. Tuszowski i p. Kosmaczewski, co bardzo wpłynęło na ożywienie toku dyskusji.

Na zebraniu w dniu 28/III b. r. kolega Gerwin 8 b. wygłosił drugą część swego referatu p. t. „Psychologia tłumu”. Podczas dyskusji, w której z gości brali udział p. Kosmaczewski i p. Tuszowski z członków kol. Kurcusz i Sokorski, zostały wreszcie uzgodnione prawie wszystkie zadania.

Z uznaniem należy stwierdzić fakt licznego stawiania się członków Koła na zebrania, co świadczy o poważnym pojmowaniu obowiązków.

Miejmy też nadzieję, iż wiosna nie popsuje nam pracy i że koledzy poza napawaniem się powietrznym wiosennym, znajdą chwilę czasu na zanurzenie się choć raz w tygodniu, nie pod specjalnym przymusem, w atmosferę naukową.

Sodalicja Marjańska. Po świętach Bożego Narodzenia odbyły się dwa zebrania ogólne Sodalicji.

Na pierwszym, 17 stycznia 1926 r., sod. Ładyżyński odczytał swój referat p. t. „Modlitwa a praca”. Po dyskusji odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów sodalicyjnych kandydatom poprzedzone przemową ks. Moderadora.

Następnie został wybrany komitet organizacyjny, który miał się zająć urządzeniem Akademii ku czci patrona sodalicyj Św. Kazimierza (4 marca).

Drugie zebranie, 21 lutego 1926 r., rozpoczęło się b. ciekawym referatem sod. Odojewskiego p.t. „O masonerji”. W dyskusji zabierali głos sod.: Gorzoch i Kosko. Następnie załatwiono sprawy sodalicyjne, m. in: wybrano nowych członków do sekcji śpiewaczej i omówiono plan akademii.

Dnia 6 marca (w sobotę), o godz. 6 wiecz., odbyła się Akademia ku czci św. Kazimierza, królewicza, patrona młodzieży. Ze względu na brak czasu i materiału, akademja miała charakter uroczystego zebrania ogólnego z zaproszeniem gości i wejściem bezpłatnym.

Na całość złożyły się: słowo wstępne ks. Moderadora, referat o św. Kazimierzu, chór sodalicyjny przy łaskawym akomp. kol. Stroińskiego, deklamacje i kilka utworów na skrzypcach.

Akademję zakończono wspólnym odśpiewaniem hymnu związkowego. Sodalisi i goście, licznie zgromadzeni, odnieśli miłe wrażenie.

ŁOMŻA Gimnazjum Męskie im. X. Piotra Skargi. Szczupłość lokalu szkolnego nie pozwala nam rozwinąć szerszej działalności korporacyjnej i dlatego „społeczne” życie nasze jest trochę dorywcze. Z istniejących organizacji w pierwszym rzędzie należy wymienić Sodalicję Marjańską.

Pod względem liczby członów związek ten ustępuje miejsca innym organizacjom, liczy bowiem zaledwie 32 sodalisów (razem z konsultą). Zato praca wewnętrzna, pewne cechy wzajemnego zrozumienia się i sympatii wśród młodych bojowców chrześcijańskiej idei czynią z Sodalicji bardzo poważną placówkę w życiu naszej szkoły. Co dwa tygodnie urządzone są ogólne zebrania, na których

zwykle jeden z kolegów sodalisów wygłasza opracowany uprzednio referat, dając możliwość wzajemnej dyskusji i jaknajszerszej wymiany myśli. Bardzo dużo przyczyniają się też do

wytworzenia religijnego nastroju wśród zebranej młodzieży krótkie, lecz treściwe i pełne mocy duchowej przemówienia ks. Moderadora A. Roszkowskiego.

IV dr. harc. im. S. Czarneckiego. Rok



IV dr. harc. im. S. Czarneckiego w Łomży.

Fot. J. Ramotowski.

1920 wnosi do życia młodzieży naszego gimnazjum fakt utworzenia własnej drużyny harcerskiej im. Stefana Czarneckiego. Pierwszym jej drużynowym zostaje mianowany, przez kom. Hufca łomżyńskiego, dh. Żelazny.

W bieżącym roku szkolnym drużynowym zostaje dh. Jan-Zdzisław Skolimowski, pod którego kierunkiem drużyna rozwija się coraz bardziej. Opiekunem drużyny jest prof. Bohdan Białecki.

Załączone zdjęcie przedstawia naszą drużynę z opiekunem oraz druż., stojącymi w środku grupy.

GRAJEWO. Państw. Gimnazjum koed. im. M. Kopernika. Jednym z głównych zadań naszego Gimnazjum jest ściąganie z Prus Wschodnich dzieci mazurskich i kształcenie ich w Grajewie. Obecnie mamy pośród nas 6-ciu chłopców Mazurów. Niewiele to narazie, ale sądzimy, że z przyszłym rokiem liczba ich powiększy się. Za wyjątkiem Zielińskiego Fr. i Kucharskiego J. wszyscy utrzymywani są przez miejscowe Koło Z.O.K.Z. W ubiegłym zaś (1) miesiącu Ministerstwo W. R. i O. P. przyznało wszystkim stypendjum.

Czują się oni wszyscy zadowoleni nadzwyczaj, ale bo też niektórzy z nich (ci co są w burzę) mają poprostu matczyną opiekę.

Załączona fotografia przedstawia grupę naszych Mazurów wraz z kol. Piekarowiczem i Dziekońskim z Kom. Red. „U Progu”.



Grupa Mazurów, uczących się w Grajewie. Siedzą: (od lewej) Kucharski J., ks. prefekt Czajkowski J., prof. Dąbrowski, Dziekoński Z. Stoją: Piekarowicz S., Zieliński F., Kucharski G. Siedzą: (rząd dolny) Popławski A., Łęgowski F. i Kempa B.

Młoda Prasa.

Czuwaj — miesięcznik Młodzieży Harcerskiej, Ziemi Łomżyńskiej. Rok XI Grudzień — Styczeń 1925/1926.

Trudno jest pisać recenzję o piśmie, w którym nic nie ma. Na treść numeru wydanego za dwa miesiące składa się: wzmianka z wierszem o Reymoncie i Staszicu. — Wywiad Kazimierza Grudzińskiego. — Schemat pracy w drużynach harcerskich w skład, której wchodzi i tańce — „polka, walc, w razie możliwości i inne, z ludowych zbójnicki” (dosłownie).

Dziwne są zarzuty „Czuwaja” stawiane czasopiśmu „U Progu”. Gniewa się np. „Czuwaj” na autora artykułu wstępnego, że żąda od młodzieży współpracy, a ciekawym, jak ma wyglądać pismo nie ciesząc się współpracą, jeżeli tak jak „Czuwaj”, to drogi nasze muszą się rozejść. Irytuje go też, że są ludzie pokładający w „U Progu” nadzieje, jako kulturalnej placówce młodzieży ziemi łomżyńskiej, jako pierwszem piśmie ogniskującym w swem łonie nie tylko wszystkie gimnazja łomżyńskie, ale i prowincjonalne. Trudno, mówi się, gdyż my za zapal i pomoc obrażać się nie będziemy.

Numer lutowy „Czuwaja” przyniósł nam dobrą inicjatywę poświęcenia tego numeru książce.

Szkoda tylko, że nie wprowadzono jej naleyście w czyn. Brak jest choćby jednego artykułu, omawiającego sprawę poważnie, a książki Żeromskiego i Reymonta potraktowane zostały wprost feljetonowo. Wiersz p.t. „Książki” jest zupełnie niezłym naśladownictwem Tuwima.

Rzucającym zaś się wprost w oczy faktem jest wypełnienie całego numeru wyłącznie prawie przez dwie siły i to stojące poza nawiasem Łomżyńskiego harcerstwa.

Smutne, ale prawdziwe. Czyżby nasze harcerstwo nie było już zdolne do żadnych wysiłków twórczych?

Reasumując wszystkie spostrzeżenia, można tylko stwierdzić, że ostatnie numery „Czuwaja” przypominają drgawki konającego pisma, więc ze swej strony możemy tylko złożyć szczerze, prawdziwie z głębi serca płynące życzenie:

„Oby wam ziemia lekką była”.

H U M O R.

Z. Dziekoński. (Grajewo. G. K. M. K.).

Widmo Horacego.

(Wierszokletom ku przestrodze).

*O Muzo boska, Muzo miłosierna
Bądźżeś mnie biedakowi chwilek kilka wierna
Bym mógł na wzór Homera piękne wiersze śpiewać
I kolegów serca snadnie rozegrzewać.
Wielkie bowiem zadanie powierzam swej ręce,
O szczytnych pisać czynach i duchowej mece.*

*Już jako młody chłopak,
Widziałem cały świat naopak —
Tak jak poeta.
A gdy już doszedł średnich lat
To byłem wtedy wielki chwałat
I sławny wierszokleta:
Tworzyłem ody, bajki i epiki
Satyry, listy i liryki
A nawet epopeje.
Nie obce były mi też i sonety,
A oprócz nich elegje, dumy i pamflety
Od których sztuczność wieje.
Znałem na pamięć wszystkie style
Jamby, trocheje i daktyle
Łacińskich metra wierszy.
Powstała oda do „Kanarka”
Hymn „Do trzewiczka i komarka”
Z rodzaju tego pierwszy.
I może byłbym sławny czyni
I skronie stroił we wawrzyny
Niczem astralna kometa,
Lecz to co się później stało
Z rąk mych pióro odebrało
I tak się skończył poeta.
Bo raz, w noc ponurą i ciemną
Mara stała przedemną
Groźna i mroczna zarazem.
Postać bólu jest pełna,
Włosy sterczą jak welna,
A twarz jest smutku obrazem.
I po chwilach kilku wreszcie
(W prawdę moich zeznań wierzyć)
W te przykre odezwie się słowa:
Człowiecze drogi!
Bij, morduj, pal i ścinaj,
Wieszaj, kłuj, siecz i wyrzynaj
Rąb, męcz, dręcz i wbijaj na pal,
Smolą oblej i zapal,
Z ciała drzyj pas jaknajszerszy
Tylko na litość... nie pisz więcej wierszy.
Tu bowiem na ziemi, Horacym byłem Flakkiem
Teraz dzięki twym wierszom... jestem wilkołakiem.*

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł. — z przesyłką 6 zł. Cena numeru pojedynczego 50 groszy.

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 40 zł.; 1/2 str. — 20 zł.; 1/4 str. — 10 zł.; 1/8 str. — 5 zł.; Drobne 10 groszy za wyraz.

Wydawca: Zrzeszone Samorządy szkół średnich ziemi łomżyńskiej.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: dyr. M. Sokorski.